

ZAZ: Przez moment to było piekło.
Ocaliliśmy mimo wszystko

STRONA 12-13

Thierry Wolton: Jesteśmy znów w 1938
roku. Putin zachowuje się jak Hitler

STRONA 14-15

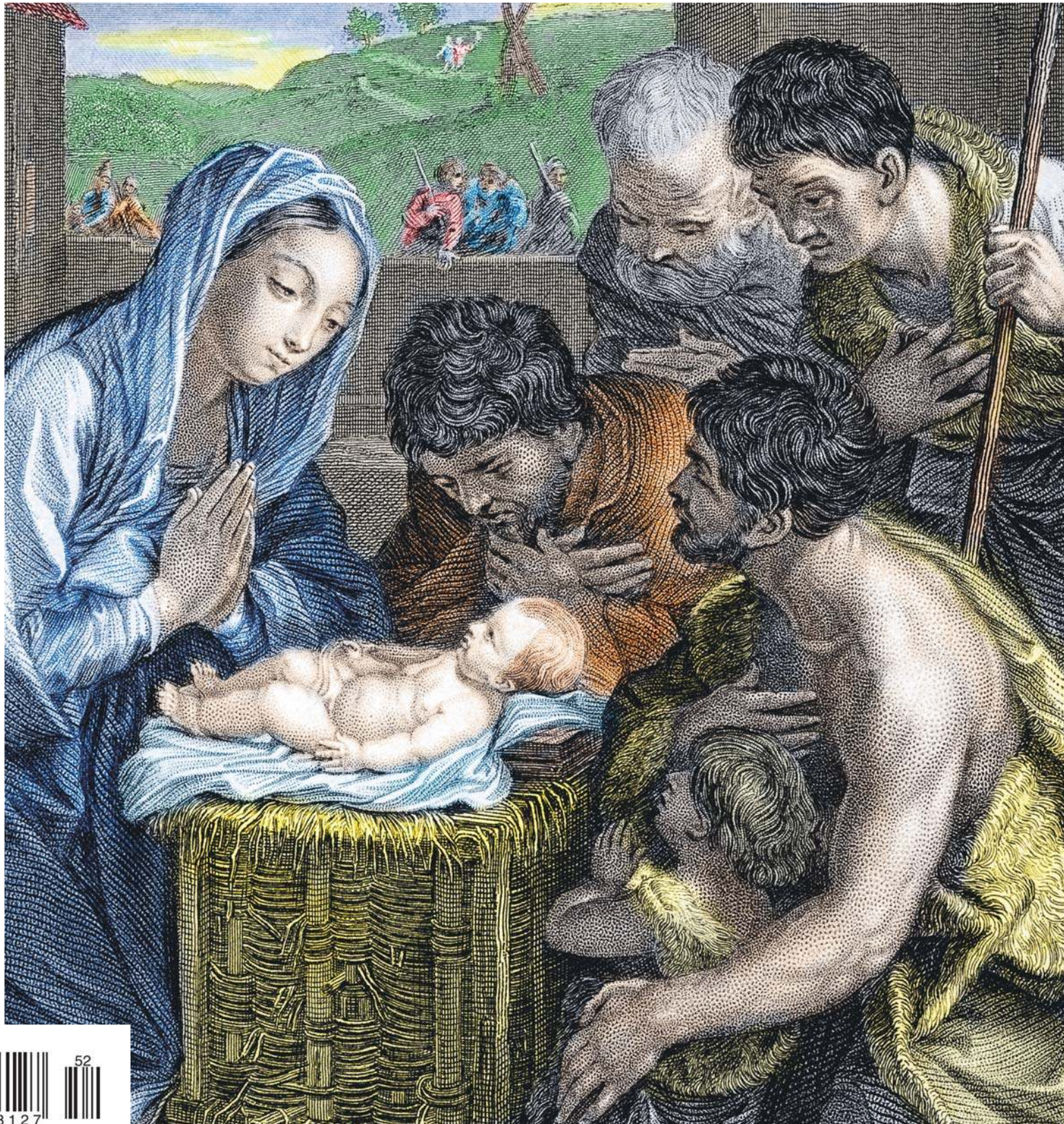
Rafał Olbiński: Bez miłości i czułości nasze
życie jest jak skrzypiące schody donikąd

STRONA 22-23

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

magazyn na święta



Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Wtorek-niedziela, 23-28.12.2025
Nr 103 (2510) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682



*W życiu najważniejsze i najpiękniejsze są rzeczy najprostsze. A Boże Narodzenie
to najlepszy czas, żeby do tych prostych prawd w sobie dotrzeć*

Najpiękniejszych Świąt!

W poniedziałek u nas Magazyn

● Muzeum dzieci transformacji ● Znany włoski kucharz opowiada o tym, jak gotował dla dyktatorów ● Święta i codzienność w rodzinach zastępczych

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Liliana Sonik
publicystka



ŚWIĘTA ZATRZYMUJĄ CZAS

Już święta? Jak to? Przecież dopiero były Zadzuszki. Czas galopuje, jak nigdy wcześniej z dwu powodów: po pierwsze my się starzejemy, a po wtóre świat młodnieje w takim tempie, że za chwilę osiągnie wiek przedszkolny.

Nauka zabrała się za wyjaśnianie przyczyny różnic w odczuwaniu upływu czasu przez ludzi młodych i niemłodych. Ponoć nasze mózgi z wiekiem się rozbudowują i wpadają w rutynę. Neurony nie muszą tak intensywnie harować jak u dzieci, dla których wszystko jest nowe i musi być dopiero rozpoznane, zarejestrowane, odczute. Innymi słowy, im człowiek młodszy, tym więcej jego mózg ma „na głowie”, na co potrzebuje masę czasu. Dlatego dziecku tygodnie wydają się tak długie.

A że świat młodnieje? Wyjaśniam. Nie młodnieje Europa. Przeciwnie robi się stara, lękliwa i opieszła, komplikująca wszystko tysiącami zakazów i nakazów. Jednak w zderzeniu z tym pojawiły się nowe technologie, które wymuszają pęd, impet, ekspresowe reakcje i natychmiastowe działania. Żeby skutecznie funkcjonować w tym świecie, poddajemy się jego szalonemu rytmowi. O tym, co wydarzyło się na drugim końcu świata, dowiadujemy się w czasie rzeczywistym. Presja natychmiastowej informacji w zasadzie uniemożliwia rzeczową analizę. Jesteśmy zasypywani przede wszystkim emocjami. I rzadko są to emocje bezinteresowne. Nawet fakty polityczne podawane są jako budzące lęk, złość, wrogość, czasem zadowolenie lub prostą satysfakcję. Czyż nie w podobny sposób odczuwają świat dzieci, których jeszcze nie nauczono bardziej skomplikowanych ciągów logicznych? Niestety, ludzie dorosłych „młodniejący” - wirtualnie - świat po prostu odmóżdża.

Święta idą nam na pomoc. Bo w zgiełku towarzyszącym upływowi poza naszą kontrolą czasu, święta są elementem stałym. Towarzyszy im zespół rytuałów, które jak kręgosłup podtrzymują konstrukcję całości. Dlatego nie zgadzam się z tymi, którzy chcieliby święta ogołocić z choinki, kolęd, wigilijnych tradycji, a nawet pasterki. Oni uważają, że to wszystko być nie musi, że choinki dawniej nie było, że kolędy proponują przestarzałe wzorce zachowań, a Wigilia jest tylko kolacją, podczas której jemy potrawy, które niekoniecznie nam smakują i spotykamy się z osobami, które nie zawsze są nam miłe. Moim zdaniem takie argumenty są po prostu nieporozumienie wobec wagi tego, co święta nam dają.

A dają nam zatrzymanie czasu. Dla ludzi umiarkowanie religijnych święta zatrzymują czas, ponieważ ich nieuchronna powtarzalność wywołuje emocje: jakby w ten wieczór kręcili się obok, przy stole, wszyscy ważni dla nas kiedyś ludzie. Nie chodzi tylko o wspominki i nie o to, że wiele osób ma wrażenie powrotu do dzieciństwa. Jest w tym coś istotniejszego. Chodzi o poczucie łączności z przeszłością i z przyszłością. O odczucie ciągłości.

Chyba o tym myślał Ahad Ha-Amow, kiedy twierdził, że „nie Żydzi przechowali szabat, tylko szabat przechował Żydów”. Natomiast dla ludzi o wysokiej temperaturze wrażliwości religijnej wspomnienie narodzin Boga jako Człowieka relatywizuje czas, bo otwiera nas na perspektywę wieczności. Siła świąt Bożego Narodzenia jest tak potężna, że nawet wtedy, zza kolorowych paciorków potrafią się wychylić istotne emocje i intuicje.

POROZMAWIAJMY O CHOINCE

Już Wigilia, więc najważniejszym elementem świątecznej dekoracji każdego domu jest niewątpliwie choinka. Czasem żywa i pachnąca, ale potem niestety zasypująca podłogę mnóstwem zeschniętych igieł. Czasem sztuczna, z plastiku, trwała i rokrocznie wyglądająca tak samo - tylko szkodliwa dla środowiska, gdy ją po paru latach użytkowania wyrzucamy do śmieci. Jak wiadomo, stale rosnąca ilość plastiku na wysypiskach śmieci to jeden z poważnych problemów cywilizacyjnych.

Ale przed świętami nie mówmy o problemach, tylko o rzeczach radosnych!

Nadchodzące święta Bożego Narodzenia powinny być świętami o wymiarze głównie duchowym. Dla wierzących chrześcijan upamiętniają one przyjście na świat Zbawiciela, Boga, który zniżył się do poziomu człowieka po to, by człowiek mógł być wyniesiony do chwały Boga.

Dla niewierzących albo - mówiąc szerzej - nie chrześcijan święta te nie mają religijnego kontekstu, jednak w większości domów mają także wymiar radosnego festynu. Warto dodać, że w tym wymiarze Boże Narodzenie

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



jest ochoczo przyjmowane i kultywowane na całym świecie, niezależnie od tego, jaką religię wyznają mieszkańcy danego kraju. Święta są momentem spotkania z rodziną i z przyjaciółmi przy świątecznym stole, przy którym powinno być zawsze jedno wolne krzesło i nakrycie dla niespodziewanego gościa. No i dekorująca dom choinka. Praktycznie w każdym domu. Uważamy, że choinka była zawsze.

A tymczasem badania etnografów i historyków ujawniają, że w Polsce zdomowili się ona dopiero na początku XIX wieku!

Dawnym polskim zwyczajem było zdobienie izby, w której spożywano wigilijną wieczerzę, snopem zboża. Zwyczajowo powinien to być pierwszy snop zebrany w czasie żniw, bo ten zadatek obfitości i zasobności miał przynosić szczęście i wróżbę urodzaju w kolejnym roku. Snop ten nazywano diduchem

(dziadem) i trzymano w domu do Trzech Króli, a potem rytualnie spalano.

Choinka, jaką dziś używamy, najwcześniej była znana w Niemczech, gdzie od XVI wieku chętnie zdobiono domy, place i ulice różnymi drzewami iglastymi, zachowującymi miłą dla oka zieleni nawet mroźną zimą.

Najwcześniej choinki pojawiły się w Alzacji, gdzie podobno zdomowili się jako pozostałości po wystawianych przed świętami misteriach nawiązujących do historii Adama i Ewy. W historii tej, jak wiadomo, istotną rolę odrywa drzewo określane w Biblii jako „drzewo wiadomości dobrego i złego”. Przedstawiając misteria odwołujące się do raju i grzechu pierworodnego, nie sposób było obejść się bez drzewa. Jednak w grudniu wszystkie liściaste drzewa przypominają smętne kikuty, więc trudno je przedstawiać jako drzewa rajskiego ogrodu. Dlatego na użytek

wspomnianych przedstawień przynoszono do miejsca, gdzie wystawiane było misterium, wiecznie zielone jodły, świerki lub sosny.

No ale Ewa powinna zerwać z drzewa owoc i go zjeść. Trudno było do tego celu użyć naturalnego owocu jodły, czyli szyszki, więc zaczęto na choinkach wieszać owoce, głównie jabłka oraz wycinane z kolorowego papieru ozdoby zastępujące kwiaty, których w raju powinno być całe mnóstwo.

Zielona choinka ozdobiona wiszącymi na niej owocami i papierowymi kwiatami tak się podobała, że po zakończonym misterium pozostawiano ją jako ozdobę. Później dodano inne ozdoby wieszane na tej choince - jadalne (ciastka, cukierki) i niejadalne (bombki, łańcuchy, świeczki).

Z tymi świeczkami to było tak. Zimą mrok zapada szybko, a Wigilia jest najkrótszym dniem w roku. Więc żeby pięknie ubrana choinka była dłużej widoczna, zaczęto umieszczać na niej świeczki. Pierwszy pisany dokument o świeczkach na choince pochodzi z 1737 roku z Zittau (Saksonia). Ale o świeczkach i lampkach na choince napiszę innym razem, bo to też szeroki temat.

CZAS ŻYCZEŃ I PRZEMYŚLEŃ

Tegoroczne kalendarzowe osadzenie świąt Bożego Narodzenia i kościółki 2025 roku jest optymalne. Racjonalnie gospodarującym urlopami udało się nawet zapewnić sobie dwa tygodnie bożonarodzeniowo-noworocznych ferii, przez co końcówka roku może nawet przypominać czas wakacyjny, kiedy zwykle „wrzucamy na luz”.

To doskonały czas na odpoczynek, nadrobienie różnych zaległości, w tym towarzyskich, ale także - a może przede wszystkim - moment na wyciszenie i złapanie dystansu do otaczającego nas „wariactwa”. Czas zaczął płynąć wolniej, może aż nie tak wolno jak przejazd ulicą Piastowską po południu, ale

Marek Mazurkiewicz
publicysta



mimo wszystko pozwala to podsumować mijający rok i zaplanować kolejny.

Politycznie był to rok niezwykle dynamiczny, czasami przypominający przejazd rollercoasterem w parku rozrywki. W wymiarze zagranicznym najważniejszym wydarzeniem okazało się objęcie urzędu prezydenta USA przez Donalda Trumpa, którego nieprzewidywalność i populistyczny charakter podejmowanych decyzji wprowadzały arenę międzynarodową w serię turbulencji. W rezultacie

80-letni sojusz między USA a Europą, oparty na wspólnych interesach, ale i wartościach, chwieje się w podstawach. Żle to oddziałuje także na perspektywy zakończenia wojny na Ukrainie, dla której 2026 będzie czwartym rokiem stawiania oporu przeciw najeźdźcy - i coraz trudniej dziś przewidywać, jak i kiedy ten konflikt mógłby się zakończyć.

W Polsce mijający rok przyniósł nową odsłonę politycznej polaryzacji. Efektem rozstrzygnięcia wyborczego o fo-

tel prezydencki jest powstanie dwóch zwalczających się ośrodków władzy wykonawczej, znajdujących porozumienie tylko w medialnie nieistotnych sprawach. Trudno oprzeć się wrażeniu, że taki dwugłós nie może być dla Polski korzystny, bo w dobie tak licznych problemów politycznych, zamiast wzmocnić społeczne podziały, powinni właśnie mimo różnic szukać - w szczególności w obszarze bezpieczeństwa - absolutnie potrzebnego porozumienia.

Nie ma co się łudzić, że rok 2026 przyniesie cudowną odmianę i wszystkie problemy krajowe i międzynarodowe znikną, ale niech chociaż na naszych prywatnych „polach” da nam więcej spokoju, życzliwości i przewidywalności.

Z CZEGO JUTRO ...? O ZERWANIU Z TRADYCYJĄ DARWINIZMU URZĘDOWEGO

W Polsce niezmiennie silne na przestrzeni wieków ostały się dwie tradycje, świąt bożonarodzeniowo-wielkanocnych oraz urzędowego darwinizmu. O ile celebrowanie świąt katolickich poza naturalnym wymiarem religijnym i duchowym wpisywało się również w tradycje polskiego patriotyzmu, o tyle darwinizm urzędowy zaordynowany przez państwa okupacyjne zwane zaborcami, zwłaszcza w wersji rosyjskiej również stał się najsilniej kontynuowaną tradycją przez kolejne wcielenia państwowości polskiej.

Narzucone przez despotyczne monarchie porządki w okupowanej przez nie przez 123 lata Rzeczypospolitej Polskiej przetrwały do czasów współczesnych w postaci darwinizmu urzędowego zaszczipionego warstwie urzędniczej, która po odzyskaniu państwowości traktowała obywateli niepodległej Polski jakby dalej byli chłopami pańszczyźnianymi lub co najmniej mieli status poddanych. Obywatele II Rzeczypospolitej, w tym kobiety, którym przyznano prawa wyborcze w roku 1918 długo nie cieszyli się statusem wolnych ludzi państwa demokratycznego, bowiem część warstwy politycznej miała instrumentalne oraz socjalistyczne i nihilistyczne podejście do konstytucyjnego ustroju i praw obywatelskich. Po przewrocie wojskowym w roku 1926 junta wydała wewnętrzną wojnę zasadom demokracji, w tym kontroli przez wyborców poczynań rządzących. Otworzyło to drogę do powrotu praktyk rodem z nie tak odległej w czasie rosyjskiej administracji policyjno-wojskowej. Z każdym rokiem rządów junty zaostrzała ona przepisy dotyczące nie tylko stowarzyszania się obywateli, jak to miało miejsce za sprawą rozporządzenia Prezydenta RP w roku 1932

Andrzej Sadowski
Centrum im. Adama Smitha

ale też walkę z samorządami gospodarczymi.

Podstawy systemu totalitarnego tworzonego w ramach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej miały swoje źródło w autorytarnym dziedzictwie junty wojskowej, która ordynowała m.in. represyjne przepisy wobec stowarzyszania się obywateli czy przetrzymywania przeciwników władzy bez wyroków sądowych w Berezie Kartuskiej. Dzierżący władzę w PRL przywrócili rosyjską metodę knuta, który był symbolem bezwzględności w łamaniu oporu obywateli. „Bitwa o handel” zapoczątkowana po sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego w roku 1947 przeprowadzanych w warunkach terroryzowania obywateli była znaczącym rozszerzeniem praktyk junty wojskowej wobec przedsiębiorców. W Polsce doszło do zerwania nią za sprawą ustawy Wilczka w roku 1988, bowiem rządowy aparat został pozbawiony możliwości uskuteczniania darwinizmu urzędowego wobec przedsiębiorców, zwłaszcza tych in spe zakładających swoje pierwsze firmy. Zasada wolności gospodarczej ustawy Wilczka skutecznie eliminowała jeden z elementów rzeźzonego darwinizmu urzędowego, którym było m.in. wymuszanie od przedsiębiorców korupcyjnych korzyści przez dzierżących pieczętki pod wydawanymi decyzjami.

Analizując podobieństwa w traktowaniu przedsiębiorców przez urzędników w czasach PRL i III RP, można dostrzec pewne continuum postaw i mechanizmów pomimo fundamentalnej różnicy pomiędzy gospodarką centralnie sterowaną a rynkową. O powierzchownym charakterze zmian prowadzących do wytworzenia się III RP świadczy milczące to-

lerowanie i uznawanie przez kolejne administracje rządowe paternalizmu i podejrzliwości wobec przedsiębiorców. Do czasu wprowadzenia

ustawy Wilczka przepełniały one corpus de esprit peerełowskiego aparatu i tkwią jako „pamięć mięśniowa” w administracji III RP.

Aparat biurokratyczny jest samoświadomym i samostannym narzędziem kontroli i utrudniania, dysponujący nadmiarem formalności i dokumentów wykorzystywanych do doskonalenia

urzędowego darwinizmu rosyjskiego pochodzenia.

Jeżeli rządzący mogli zerwać umowy o dostawie surowców energetycznych z Rosji, to również powinni wykorzystać tradycję rosyjskiego darwinizmu urzędowego wobec obywateli a zwłaszcza przedsiębiorców. Najskuteczniej uczynić to można, przywracając wol-

ność gospodarczą, która jak w roku 1988 była jedyną metodą pozytywnej antykorupcyjnej transformacji aparatu państwowego.

Andrzej Sadowski
– założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 r.

REKLAMA

0011444590



ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

*Wesołych Świąt,
Szczęśliwego Nowego Roku!*

Z okazji nadchodzących Świąt
życzymy Państwu spokoju,
radosnych chwil w gronie najbliższych.
Niech ten wyjątkowy czas
przyniesie wiele inspiracji
oraz satysfakcji.

aluprof.com

*ANALIZUJĄC PODOBIENSTW
W TRAKTOWANIU PRZEDSIĘBIOR
CÓW PRZEZ URZĘDNIKÓW
W CZASACH PRL I III RP MOŻNA
DOSTRZEC PEWNE CONTINUUM*

Ale wigilijna opowieść angażuje też postaci z drugiego planu, bez których byłaby niezrozumiała. To nie tylko osoby zaangażowane w akcję, ale też takie, bez których nie rozumielibyśmy kontekstu wydarzeń.

Poniżej dziesiątka z takich drugoplanowych bohaterów Ewangelii.

Św. Elżbieta

Matka św. Jana Chrzciciela, żona kapłana Zachariasza i krewna Maryi, Matki Zbawiciela. Wraz z mężem św. Zachariaszem mieszkała niedaleko Jerozolimy, według tradycji w dzisiejszej miejscowości Ain Karim. Urodziła dziecko mimo podszerego wieku po tym, jak św. Zachariaszowi objawił się anioł w świątyni w Jerozolimie.

To do św. Elżbiety pielgrzymowała Maryja. Św. Łukasz pisze: „W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w pokoleniu Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę”. W tradycji prawosławnej ciało św. Zachariasza, zabitego przez siepaczy Heroda odnaleziono w 415 r. i przewieziono do Konstantynopola, natomiast o relikwiach św. Elżbiety nic nie wiadomo.

Herod Wielki

Król Judei w latach 37-4 p.n.e, choć nie Żyd a Idumejczyk i śmiertelny wróg Jezusa. W Ewangelii św. Mateusza przedstawiony został wręcz jako tyran pragnący Go zgładzić, inicjator tzw. rzezi niewiniątek.

Zasięgnawszy rady uczonych w Piśmie, skierował ich do Betlejem, mówiąc, by donieśli mu potem, aby i on mógł oddać pokłon. Mędrcy jednak inną drogą powrócili do swojej ziemi: „Wtedy Herod, widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał zabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców”.

Pod koniec życia Herod dopuścił się wielu mordów, poszukując rzeczywistych lub domniemych spisków, mogących pozabawić go władzy, m.in. zamordował swojego pierworodnego syna Antypatra (z pierwszej żony Doris). Zabił też jedną ze swoich żon oraz jej synów, brata i matkę,

Narodziny Jezusa. bohaterowie drugiego planu

Spójrzmy na Narodziny Zbawiciela szerokim kątem. Prócz głównych postaci, które znalazły się przy żłóbku, są pielęgnujący Nowonarodzonego Maryja i Józef, grupa pasterzy-wybrańców, trzech egzotycznych Mędrców z darami. Gdzieś nad mini czuwa anioł Pański

Mariusz Grabowski

którą wydał na śmierć głodową w więzieniu.

Anioł Gabriel

Jest aniołem, a konkretniej archaniołem zwiastowania, zmartwychwstania, miłosierdzia, kary, śmierci i objawienia. W Nowym Testamencie Gabriel pojawia się dwukrotnie u św. Łukasza: pierwszy raz, gdy zwiastował św. Zachariaszowi w świątyni żydowskiej narodzenie św. Jana Chrzciciela oraz kiedy Najświętszej Maryi Pannie zwiastował narodzenie Jezusa.

Anioł rzekł do Maryi: „Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus (...) Na to Maryja rzekła do anioła: Jakże się to stanie, skoro nie znam męża? Anioł Jej odpowiedział: Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię” (Łk 1, 30-38).

Archanioł Gabriel w katolicyzmie jest patronem filatelistów, filumenistów, pracowników łączności, pocztowców, dyplomatów, teledetekcji, radia i telewizji. Ponadto został również wybrany na patrona CBA.

Cezar August

To za jego rządów wyszło rozporządzenie o spisie ludności w całym imperium. „Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida” - informuje św. Łukasz.

Gajusz Juliusz Cezar Oktawian miał w chwili narodzin Jezusa ok. 60 lat i oprócz wszystkich funkcji i honorów był także Najwyższym Kapłanem (Pontifex Maximus). Był to dożywczy urząd najwyższego zwierzchnika rzymskich kultów religijnych. A dokładnie 5 lutego 2 roku p.n.e. August przychylił się do prośby senatu i ludu rzymskiego i przyjął tytuł Pater Patriae - Ojca Ojczyzny. 1 sierpnia tego samego roku uroczystie otworzył świątynię Marsa Ultora, której zbudowanie ślubował przed czterdziestu laty, na polu bitwy pod Filippi.

Św. Symeon

Spotykamy go w uroczystości Ofiarowania Pańskiego w świątyni w Jerozolimie, świętowanej zgodnie z prawem Mojżeszowym. 112-letni Św. Symeon bardzo chciał ujrzeć Zbawiciela i Bóg obiecał mu, że nie umrze dopóki nie zobaczy Jezusa. Gdy Maryja i Józef przyszli ofiarować Jezusa Bogu, Symeon ujrzął ich i rozpoznawszy w dziecku zbawienie, jak pisze św. Łukasz, z radością krzyknął:

„Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twojego, Izraela”.

Prorokini Anna

Niewiasta, którą wspomina św. Łukasz, która była obecna podczas Ofiarowania Jezusa w świątyni. Ewangelista podał nam jej wiek: miała 84 lata. Kobieta przez siedem lat była zamężna, potem owdowiała i poświęciła się służbie w świątyni, a po spotkaniu ze Świętą Rodziną głosiła wieść o zbawczym przyjsciu Mesjasza.

Anna znalazła się m.in. na fresku „Ofiarowanie Jezusa w świątyni” Giotta di Bondone, namalowanym ok. 1305 r. dla kaplicy Scrovegnich w Padwie. Została nań przedstawiona jako stara przygarbiona kobieta ze zmęczoną, zaznaczoną bruzdami twarzą. Nad postaciami, po prawej stronie, widać anioła trzymającego gałązkę trójlistnej koniuczyny, będącej symbolem Trójcy.

Kwiryniusz

Św. Łukasza, pisząc o spisie powszechnym, zauważa, że „Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz”. Co nieco o nim wiemy: Publiusz Sulpicjusz Kwiryniusz (ok. 51 r. p.n.e.-21 r. n.e.) był wojskowym i senatorem z czasów początku tzw. pryncypatu, czyli rządów cesarza Augusta.

Głównym powodem, dla którego w imperium odbywały spisy ludności, był fiskalizm. Wśród różnych podatków, z jakimi mamy wówczas do czynienia w Syrii, m.in. pobierano podatek bezpośredni zwany „tributum capitis”. Był to podatek powszechny, płacili go mężczyźni



Sandro Botticelli: „Mistyczne Narodziny”, obraz z ok. 1500 r. Znajduje się w National Gallery w Londynie

w wieku od 14 do 65 lat i kobiety od 12 do lat 65.

Większość historyków uważa, że św. Łukasz odnosi się do spisu z 6 r. (tego wspomnianego także w Dziejach Apostolskich), błędnie umieszczając go za życia Heroda. Część zaś uważa, że nie pomylił się, lecz wspominał o jakimś wcześniejszym spisie, nie zanotowanym przez historyków.

Karczmarz z Betlejem

Ten anonimowy przedsiębiorca przeszedł do historii powszechnej odmową udzielenia gościny św. Rodzinie. „Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” - pisze św. Łukasz.

Dorzućmy kilka faktów: podróż z Nazaretu do Betlejem wynosiła ok. 120 km. Noclegi dla podróżnych były prymitywne, a gospody wyglądały jak rząd otwartych pomieszczeń przypominających przegrody w stajni, które otaczały wspólny dziedzińec. Właściciel zajazdu dostarczał tylko paszę do zwierząt i drewno na opał. Podróżni musieli sami zatroszczyć się o prowiant.

Jezus narodził się zatem prawdopodobnie w takim zatłoczonym i gwarnym zajazdzie. „Żłobek” był drewnianym naczyniem służącym do podawania paszy zwierzętom gospodarskim.

Król Dawid

„Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta - pisze ewangelista. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida”.

Rodowód był u Żydów niezwykle ważny. Św. Mateusz rozpoczął swoją genealogię od patriarchy Abrahama i poprzez króla Dawida i jego syna Salomona prowadzi ją, zachowując legalną dość linię dynastyczną, przez Jojakina aż do Józefa, męża Marii i przybranego ojca Jezusa.

Prowadząc od Abrahama, przez Dawida, aż do Józefa, męża Maryi, rodowód potwierdza, że Jezus jest - jak będą nieraz o Nim mówić - „Synem Dawida”. To właśnie prawne (bo nie biologiczne) ojcostwo Józefa, potomka Dawida, daje Jezusowi ten tytuł. Tym samym Jezus staje się dziedzicem obietnic danych Dawidowi i - jak się okaże - przyniesie ich wypełnienie.

Św. Jan Chrzciciel

Syn św. Elżbiety, rówieśnik Jezusa i ten, który prorokował Jego Przyjście. Przez wielu początkowo uznawany był za Mesjasza, czemu zaprzeczał. W Ewangelii św. Mateusza Jezus określił św. Jana jako swego poprzednika i największego człowieka, który kiedykolwiek narodził się na ziemi:

„Po coście więc wyszli? Proroka zobaczyć? Tak, powiadam wam, nawet więcej niż proroka. On jest tym, o którym napisano:



Superbohaterowie PGE. Dla Ciebie.

Wilhelm Masarczyk
Starszy Mistrz Remontów Maszyn i Urządzeń Energetycznych
PGE GiEK Oddział Elektrownia Rybnik



Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, który burzy nasze wyobrażenia o sile, sukcesie i skuteczności: Bóg przychodzi jako bezbronne dziecko, zdany na ludzką miłość. W rozmowie z bp. Damianem Muskusem, franciszkaninem pytamy o sens tej słabości, o Betlejem jako prowokację wobec współczesnego świata oraz o święta, które nie są jedynie tradycją, lecz zaproszeniem do zmiany życia.

Jolanta Tęcza-Ćwierz



Nowonarodzony. Obraz francuskiego malarza Georges'a de La Toura

BÓG, KTÓRY RYZYKUJE MIŁOŚĆ. DLACZEGO ZBAWIENIE PRZYSZŁO PRZEZ BEZBRONNOŚĆ DZIECKA?

Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu: Bóg wybiera bezbronność dziecka. Dlaczego - z perspektywy wiary - to właśnie słabość, a nie potęga, okazuje się drogą zbawienia?

Niemowlę jest całkowicie zależne od rodziców. Wymaga nieustannej uwagi, czulej i troskliwej opieki, ochrony przed niesprzyjającymi warunkami, karmienia, tulenia,

czuwania nad jego bezpieczeństwem. Bóg, który przychodzi na świat jako maleńkie dziecko, oddaje nam się całkowicie. Jest, ośmielił się powiedzieć, zależny od naszej miłości, od naszej dobrej woli i uwagi. On chce być kochany. Chce być jednym z nas. Rzekłoby się mógł nas zbawić przez jedno swoje słowo, ale postanowił, że stanie się człowiekiem i zamieszka wśród

nas, że będzie zwyczajnie żył, że będzie doświadczał ludzkich radości i smutków. Dlaczego? Wspaniale o tym mówił papież Franciszek w homilii wygłoszonej na mszy św. w sanktuarium jasnogórskim w 2016 roku. Mówił o Bogu, który chce nas zbawiać, będąc małym, bliskim i konkretnym. Pamiętam jego słowa: „Pan nie chce, żeby się Go lekano jako możnego i dale-

kiego władcy, nie chce przebywać na tronie w niebie czy w podręcznikach historii, ale pragnie schodzić w nasze codzienne wydarzenia, aby iść z nami”. Bogu obca jest logika władzy, wielkości i znaczenia. To jest myślenie ludzkie, nie Boże. On umiłował codzienne drogi, ubogie znaki i zwyczajnych ludzi. Ma pani rację, Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, ale właściwie

w dziele zbawienia wszystko jest, w świetle ludzkiej logiki, paradoksem.

Co mówi nam fakt, że Bóg przychodzi na świat poza domem, w miejscu prowizorycznym, jakim była „nędzna szopa”? Jak to czytać dziś - społecznie i duchowo? Pewnie dla każdego ta prawda ma inne znaczenie, bo odczytujemy ją w różnych kontek-

stach kulturowych, społecznych, ale także osobistych. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka wątków, o których czytamy w Ewangelii, świętując Boże Narodzenie. Jezus narodził się w miejscu przypadkowym, dalekim od królewskich standardów, a to wynika z owej logiki małości, bliskości i konkretności, o której wspominałem. Gdyby przyszedł na świat w pałacu, byłby dostępny dla wybranych i uprzywilejowanych społecznie. Gdyby przyszedł na świat w czterech ścianach zwyczajnego domu, byłoby trudniej Go odnaleźć. Nawet gwiazda betlejemską pewnie nie byłaby w stanie sforsować ochronnego muru miłości świeżo upieczonych rodziców tego Dziecka. Natomiast grota jest miejscem dostępnym dla wszystkich. Małego Boga mogli więc odwiedzić zarówno pasterze, ludzie prostej, ciężkiej pracy, jak i mędrcy z dalekich stron. Jezus nie przyszedł na świat dla wybrańców, ale dla każdego bez wyjątku. To oznacza, niestety, również to, że od pierwszych dni życia na ziemi Bóg był narażony na niebezpieczeństwo ze strony nienawidzących Go ludzi, gotowych zabić bezbronnego z powodu szalonego pragnienia władzy, w imię której instrumentalizowali religię. Aby być dostępnym dla wszystkich, Bóg całkowicie oddał się w nasze ręce, bez żadnych warunków. Boże przyjscie na świat w takich prowizorycznych warunkach wiele też mówi o naszej ludzkiej kondycji. O naszej bezdomności na ziemi, której jedni doświadczają dosłownie, bardzo realnie, a inni o niej zapominają, przywiązując się do świata, w którym wszystko jest przecież ulotne i przemijające. Ale żłóbek betlejemski wskazuje również na to, że wiara jest bardziej drogą niż domem. Zarówno pasterze, jak i mędrcy, musieli wyruszyć w drogę, by spotkać Boga. Przypomnę, że On objawił się im w chwili, gdy byli zajęci swoją pracą. Pasterze przebywali wówczas w polu, gdzie pilnowali stada, a mędrcy pogrążeni byli w intelektualnych dociekaniach nad światem. Musieli zostawić swoje zajęcia, by wyruszyć na spotkanie. Jeśli wiara jest drogą, oznacza to również ryzyko błędzenia, zmęczenia, wątpliwości. A zarazem jest to też miejsce rozwoju, twórczości, gotowości na niespodziewane i nadziei, która jest motorem każdej wędrówki.

Czy w świecie, który ceni pracę, skuteczność, sukces i siłę, tajemnica Betlejem nie brzmi dziś trochę jak prowokacja? Jakie pytanie Bóg zadaje dziś człowiekowi, rodząc się w Betlejem XXI wieku? Betlejem XXI wieku w sensie geopolitycznym jest dziś miej-

scelem niespokojnym, a jego mieszkańcy ponad wszystko pragną pokoju, który jest niezbędnym, by żyć bez lęku. Oni na własnej skórze od lat odczuwają prawdę, że żadna ludzka siła, żadne negocjacje pokojowe, choćby prowadzone przez genialnych i znanych ze skuteczności strategów, tego trwałego pokoju nie zapewnią. Pokój zaprowadzany przez ludzi zawsze jest niestabilny. Zapomnieliśmy już o tym pod naszą szerokością geograficzną, bo mamy przywilej bezpiecznego życia, ale nasi wschodni sąsiedzi boleśnie tego doświadczają. Ludzki pokój jest nietrwały, nie zagwarantują go żadne traktaty zawierane między mocarstwami. Betlejem mówi nam, że pokój jest jednak możliwy nawet w samym środku zamętu, strachu o życie i braku poczucia bezpieczeństwa. Jest to pokój, który daje światu miłość Boga. To pokój, który płynie z pewnością, że wszyscy jesteśmy w Jego rękach i cokolwiek na ziemi się nie wydarzy, choćbyśmy nawet życie stracili, to w perspektywie wieczności nic złego nam się nie stanie, bo Jego miłość nas chroni. To oczywiście nie jest łatwe do przyjęcia, bo mamy w pamięci losy niezliczonych współczesnych męczenników wojen i konfliktów. Jednak żadna ludzka siła nie odbierze nam pokoju serca, którym obdarza nas Bóg. Myślę, że dziś, w naszych niespokojnych, niepewnych czasach, On przychodzi z pytaniem o zaufanie i nadzieję. Czy potrafimy zaufać Jego miłości? Z jakich źródeł czerpiemy naszą nadzieję, gdy wokół ogarniają nas ciemność i zamęt? Wbrew pozorom, to nie są tylko pytania stawiane wierzącym w Niego. Każdy człowiek - czy to wierzący, czy poszukujący, czy niewierzący - powinien z tymi pytaniami się zmierzyć. Co jest naszym fundamentem? Jakich wartości chcemy bronić? Czy są w naszym życiu sprawy cenniejsze niż samo życie?

Można powiedzieć, że Boże Narodzenie to święto Boga, który nie narzuca się człowiekowi, ryzykuje odrzucenie, ale czeka na jego odpowiedź. Co to mówi o Bożej miłości? Dotykamy tu kolejnego paradoksu. Potężny, wszechmogący Bóg, Stwórca świata i człowieka, jest bezradny wobec ludzkiej wolności. Kochając, daje nam prawo wyboru i szanuje konsekwencje tych wyborów. Mógłby nas zbawić wbrew nam samym, ale tego nie robi. Zależy Mu na naszym dobru, ale pragnie, byśmy sami, w wolności, wybierali dobro. Daje nam przestrzeń, bez której miłość po prostu nie jest możliwa. Dzięki temu możemy wybrać, czy chcemy żyć z Nim, czy wolimy żyć bez Niego. On nie chce też, by Jego

Kościół był światem niewolników, pomyślał go jako miejsce ludzi wolnych, twórczych, myślących i odważnych. Wszelkie zniewolenia, również te w sferze sumienia, są konstruktem ludzkim, nie Bożym.

Święta obchodzimy co roku. Mamy jeszcze zdolność zdziwienia się Bożym Narodzeniem, czy raczej wiemy już „wszystko” i dlatego niewiele nas porusza?

To oczywiście kwestia indywidualna. Fakt, że co roku przeżywamy tę tajemnicę, że święta te mają swój rytm i tradycje, może spowodować rutynę. Co roku jest adwent, roraty, co roku idziemy na pasterkę, przygotowujemy dom na święta. To wszystko może skutkować pewnym znieczuleniem na nowość Bożego Narodzenia, nawet jeśli wyczekujemy tych dni z radością. Jednak Boże Narodzenie nie odbywa się w oderwaniu od naszego życia. Każdy rok przynosi nowe doświadczenia, zmieniamy się, zmienia się świat wokół nas, przeżywamy nowe radości i troski. Warto tajemnicę Bożego Narodzenia przyjmować w takim kontekście, w kontekście codzienności, i zadawać sobie pytanie, co prawda o Nowonarodzonym Jezusie wnosi do mojego życia tu i teraz, w tym, co aktualnie jest dla mnie ważne, co mnie angażuje, co boli i co daje szczęście? Myślę, że jeśli pozwolimy, by Słowo, które stało się Ciałem, opowiadało nam o sensie tego wszystkiego, będziemy wciąż na nowo odkrywać Boże Narodzenie i zachwycać się niezwykłością tego wydarzenia.

Jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie” Jezusa - uczynienie Go miłym elementem świątecznego krajobrazu, a nie kimś, kto zmienia życie?

W tym pytaniu kryje się już odpowiedź. Jeśli Jezus będzie tylko „miłym elementem świątecznego krajobrazu”, Dzieciątkiem w żłóbeczku, o którym śpiewamy kolędy, i nie dopuścimy Go do naszego życia, nigdy nie stanie się dla nas Kimś, kto to życie zmienia, kto nadaje mu sens i kierunek. Jezus Chrystus nie jest elementem tradycji, jest żywą Osobą. Nie jest bajką opowiadaną po to, by poprawić nam samopoczucie, ale Kimś, kto nas kocha bez granic. Jeśli pyta Pani o to, jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie” Jezusa, to mogę odpowiedzieć tylko tyle: nie spotkamy Go, jeśli będzie dla nas wyłącznie dekoracją pod choinką czy bohaterem rzewnych kolęd. Rozmieniemy się z Nim w drodze, nie odnajdziemy Go, a Boże Narodzenie zostanie zredukowane

do czasu zimowego odpoczynku, jakiejś przerwy w codzienności. Tracąc sens Bożego Narodzenia, tracimy sens chrześcijaństwa. Jezus nie jest przecież dodatkiem do świętowania. Jest jego głównym Bohaterem.

Pasterze byli pierwszymi świadkami narodzin Jezusa, a Maryja i Józef - zwykłymi ludźmi. Czy w tym świetle Boże Narodzenie staje się świętem codzienności i zwykłego życia, a nie tylko wielkich wydarzeń?

I tak, i nie. Tak, bo zwyczajność życia Świętej Rodziny i ludzi, którzy jako pierwsi radowali się przyjściem Boga na świat, jest znakiem, że Bóg wchodzi w naszą codzienność. Nawet jeśli tego nie zauważamy, wchodzi w nią bowiem pokornie i niedostrzeżalnie. Boże Narodzenie to przecież święto Emmanuela - Boga z nami, bliskiego naszym ludzkim sprawom, dzielącego nasz ziemski los. Ale z drugiej strony nie można zignorować faktu, że Boże Narodzenie to wydarzenie wielkie, przełomowe dla ludzkości, zasługujące na to, byśmy celebrowali je odświętnie i uroczysto. Potrzebujemy zresztą, i dla higieny psychicznej, i dla wzrostu duchowego, takich dni - pięknych, wzruszających, nawet podniosłych. Karmimy się nimi również po to, by ich odblask odkrywać w szarej codzienności.

Wiele osób przeżywa święta z poczuciem pustki, straty lub samotności. Boże Narodzenie jest także świętem ludzi zranionych i przegranych?

Boże Narodzenie jest świętem wszystkich ludzi, również tych, którzy cierpią. Dla nich ten czas jest trudny, bo myślę, że pustkę, samotność, zranienia i żalobę w tych dniach odczuwa się intensywniej, bardziej boleśnie i dojmująco. Jeśli codzienność nas przytłacza, Boże Narodzenie nie stanie się cudownym lekiem, który ją uleczy. Pusty talerz przypomina nam o tęsknocie za kimś, kogo już nie ma, opłatek, którym nie mamy z kim się przełamać, mówi o samotności więcej i rozpaczliwiej niż codzienność. Dotknęła pani bardzo trudnej kwestii, bo również kultura nie ułatwia przeżywania tych świąt w zgodzie z samym sobą. Zewsząd słyszymy pogodne świąteczne melodie, reklamy pokazują uśmiechnięte, szczęśliwe rodziny. Można mówić o pewnej presji, która ten świat - zazwyczaj z powodów komercyjnych - wywiera na nas, by w okresie Bożego Narodzenia emanować radością. Ale Jezus, który przyszedł na świat w ekstremalnie trudnych wa-

runkach, jest solidarny zwłaszcza z ludźmi, którzy są w bolesnych sytuacjach życiowych, widzi ich lzy i osamotnienie. Jeśli ktoś czuje się źle w tym czasie, nie powinniśmy go zmuszać do uśmiechu i próbować uszczęśliwiać na siłę. Ważniejsza jest wtedy obecność, której nie zagłuszy hałas świątecznych tradycji. Jeśli sami czujemy się źle, jesteśmy poranieni i opłakujemy nasze straty, pozwólmy sobie na to, by przeżywać ten czas po swojemu, w swoim tempie, dbając o siebie tak, jak dyktuje nam serce. Nie ma obowiązku radosnego świętowania na przekór temu, co się aktualnie przeżywa. Jeśli czytamy Boże Narodzenie w kontekście naszej codzienności, odkryjemy jego przemieniającą, kojącą i łagodną siłę.

Czy da się przeżyć Boże Narodzenie głęboko, nie uciekając od trudnych tematów: wojny, migracji, ubóstwa, podziałów społecznych?

Myślę, że one wtedy się narzucają ze zdwojoną siłą i stają się naturalnym tematem rozmów przy świątecznych stołach. Kluczem jest tu umiejętność słuchania. Polaryzacja jest tak silna, że wkroczyła również do rodzin, dzieląc nas na różnych poziomach: wrażliwości, poglądów, patrzenia na świat. Boże Narodzenie to święto, przeżywane jako czas bliskości, jedności, pokoju. Czasem niestety na własne życzenie rujnujemy go sobie, pozwalając na jałowe dyskusje, które szybko przeradzają się w konflikty. Chciałbym, aby świętowanie Bożego Narodzenia było wolne od napięć, ale obawiam się, że to jest trudne do uniknięcia, bo nie celebруем świąt w oderwaniu od rzeczywistości. Jesteśmy w nią zanurzeni. Problem polega na tym, czy potrafimy się nią dzielić w taki sposób, by nie tworzyć kolejnych niepokojów - z zaciekawieniem, z chęcią poznania innych punktów widzenia, nie strasząc się wzajemnie posępnymi wizjami przyszłości, ale dzieląc się nadzieją, o którą wszyscy powinniśmy dziś szczególnie dbać. Bez nadziei przecież nasza wiara karłowacieje, a miłość traci siłę. Boże Narodzenie to święta nadziei. Każde nowe życie nią jest, a życie, które przyszło na świat w Betlejem, przynosi nadzieję silniejszą niż wszystkie nasze spory, lęki i podziały.

Jak nie stracić duchowego sensu świąt, nie odcinając się jednocześnie od ich rodzinnego i kulturowego wymiaru?

To coraz trudniejsze wyzwanie, ale nie niemożliwe do osiągnięcia. Do granic skomercjalizowana kultura tego czasu nie ułatwia nam tego

zadania, ale z drugiej strony - ubogi i mały Jezus ma większą siłę oddziaływania niż najgłośniejsze, najbardziej przyciągające marketingowe chwytły sprzedawców świątecznego szczęścia. Trzeba tylko się wsłuchać. To naprawdę od nas zależy, na czym położymy akcent w naszym świętowaniu. Nie jesteśmy niewolnikami kultury, cieszymy się Bożym Narodzeniem po swojemu. Wymiar rodzinny świąt ma też swój wymiar duchowy. Świętujemy przecież spotkanie z Bogiem, który jest między nami. Obecność, słuchanie, dialog, wspólnota stołu i modlitwy - to ważna część naszej duchowości. Nawet jeśli się różnimy, nawet jeśli okazuje się, że przy jednym stole zasiadają ludzie, którzy świętują różne sprawy, bo dla każdego z nich Boże Narodzenie znaczy coś innego. Nie możemy w imię duchowego sensu lekceważyć spotkania z bliskimi albo wymiaru kulturowego tych świąt. Jesteśmy jednością ciała, ducha, psychiki i emocji, i świętujemy jako cały człowiek. Dla naszego ducha ważna jest modlitwa, ale także spotkanie z rodziną czy nawet smak świątecznego piernika. Wszystko ma znaczenie, najważniejsze jest to, by odnaleźć równowagę między tymi elementami.

Gdyby Ksiądz Biskup miał wskazać jedno zdanie z Ewangelii, które najlepiej streszcza sens Bożego Narodzenia, które by to było i dlaczego?

„Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie,

gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2, 7). To zdanie jest streszczeniem wszystkich paradoksów Bożego Narodzenia, opisem Boga, który jest małeńki, bliski i konkretny, zapowiedzią Jego odrzucenia, ale i miłości, którą rozpoznajemy w czułych słowach „owinęła Go w pieluszki”. Świadomość, że Bóg, jak każdy z nas, ssął mleko swojej Matki, że było mu zimno i kwilił, gdy był głodny, jest niezwykle wzruszająca, ale i umacniająca poczucie sensu naszego ludzkiego życia. Poza tym, jako duchowny syn św. Franciszka z Asyżu, wspominam te słowa, bo to one natchnęły Biedaczną do stworzenia w Greccio pierwszej szopki. „Chcę naocznie pokazać Jego (Jezusa) braki w niemowlęcych potrzebach, jak został położony w żłobie i jak złożony na sianie w towarzystwie wołu i osła”. W tych słowach mieści się prostota, ubóstwo i pokora Syna Bożego, Emmanuela - Boga z nami.

CV



FOT. ARCHIWUM

bp Damian Muskus franciszkanin, biskup pomocniczy Archidiecezji Krakowskiej



REKLAMA 0411243884

Świąteczne zakupy w Centrum Mody Nadarzyn DOBRY WYBÓR

Czynne w każdą NIEDZIELĘ niektóre sklepy

CM ELEGANCJA

Aleja Katowicka 51, Nadarzyn tel. 22 739 55 00



FOT. NAC

Dzieci żydowskie uczyły się w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyżmem religijnym. (ilustracja: Simon Bening „Jezus nauczający w świątyni”)

Już w Księdze Rodzaju zapisano strategiczny, perspektywiczny plan dla Narodu Wybranego: „Poczym Bóg im błogosławił i powiedział do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną«” (Rdz 1, 28).

Lepszy byłby syn

Można rzec, że dzieci, część wielkiej wielopokoleniowej rodziny izraelskiej, były ważnym elementem owego planu. To w rodzinie przychodziły na świat, wzrastały, pod kierunkiem rodziców wychowywały się i przygotowywały do przyszłych zadań i obowiązków. W czasach Nowego Testamentu sytuacja ta uległa zmianie tylko w niewielkim stopniu, a nowa sytuacja wiązała się z głoszeniem Ewangelii do pogan w świecie greckorzymskim.

Co ważne – córki nie były witane w rodzinie z taką radością jak synowie. Powodów było wiele. Z chwilą zawarcia małżeństwa żona przechodziła do domu męża i była stracona dla rodziny; córki nie mogły też dziedziczyć. Nadto dziewczyny narażone były na wiele innych niebezpieczeństw: mogły nie wyjść za mąż, pozostając samotne w domu rodzinnym, mogły też zostać uwiedzione. W przypadku, gdy kobieta zostawała bezdzietną wdową lub została odesłana przez męża, wracała do domu rodzinnego.

Zdecydowanie lepsza była sytuacja życiowa synów. Przywilejami cieszył się w rodzinie przede wszystkim pierworodny, który za życia ojca miał

pierwszeństwo przed swymi braćmi, zaś po jego śmierci dziedziczył dwukrotnie więcej od braci i stawał się głową rodziny.

Imię jest ważne

W tekście „Małżeństwo i rodzina w kulturze starożytnego Izraela” ks. Bogdan Wiktor Matysiak pisze: „Narodziny dziecka zawsze były w rodzinie wielkim wydarzeniem (...). Po porodzie matka i dziecko podlegały szczególnym przepisom prawa izraelskiego. Przez fakt narodzin matka zaciągała na siebie nieczystość rytualną, tzn. nie mogła brać udziału w aktach kultu. Po urodzeniu chłopca pozostawała nieczysta siedem dni, a okres jej oczyszczenia trwał cały miesiąc. Po urodzeniu zaś dziewczynki okres nieczystości rytualnej trwał dwa razy dłużej: dwa tygodnie i dwa miesiące. Bezpośrednio po urodzeniu się dziecko otrzymywało imię, które zwyczajowo było wybierane przez matkę, a tylko okazynie nadawał je ojciec”.

I dalej: „W kulturze izraelskiej, podobnie jak na całym starożytnym Bliskim Wschodzie, nadanie komuś imienia oznaczało przejście nad nim władzy; odnosiło się to do ludzi, zwierząt i przedmiotów. Imię było także wyrażeniem związanej z daną osobą nadziei lub jej symbolem. Stąd też nadawano imiona na podstawie zaistniałych zdarzeń podczas porodu, zachowania się dziecka: Nachor («chrupacz») czy Paseach («chromy»)”.

Chłopców w ósmym dniu obrzezano. Był to znak włączenia we wspólnotę narodu

wybranego. Ów obrzęd był na tyle istotny, że dokonywano go ósmego dnia nawet wtedy, gdy dzień ten przypadał w szabat. Tak, choć jeszcze nieświadomie, małe wkraczał w przestrzeń religii i wiary.

Wychowanie

Dzieci żydowskie uczyły się i wychowywały w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyżmem religijnym – w rodzinie, pracując i modląc się razem z rodzicami i krewnymi. Dorastające dzieci, chłopcy i dziewczynki, były bezpośrednio zapoznawane z pracami i przyszłymi zadaniami, pomagali w polu i w domu, często doglądały trzód, co dotyczyło również dziewcząt. Dziewczynki pozostawały w okresie dzieciństwa i młodości pod opieką matki tak, iż nawet zachowało się przysłowie: „Jaka matka, taka córka”.

Dziewczynki uczyły się prowadzić dom: gotowania, szycia i tkactwa, gospodarstwa domowego i uprawy roli. Pasterstwo, prace na roli i przy żniwach również należały do dziewczęcych obowiązków. Okres dzieciństwa miał przygotować córkę do przeszłej roli żony i matki, a wychowanie córki było powierzone w praktyce jej matce.

„Niemowlęta płci męskiej pozostawały pod opieką matki do trzeciego roku życia i dlatego pomiędzy chłopcem i matką powstawały nieraz silne związki uczuciowe. Wychowanie chłopca dokonywało się jednak pod kierunkiem ojca rodziny, który miał obowiązek, jak później sformułowali to rabin, »nauczyć

syna Prawa, dać mu żonę oraz nauczyć go zawodu«”.

Jezus, syn cieśli

Można stwierdzić, że to przede wszystkim ojciec wprowadzał synów w znajomość Prawa Mojżeszowego. Ojciec także własnym przykładem i objaśniającym, oszczędnym słowem pouczał syna o pracach domowych i zajęciach gospodarskich, prawach i obowiązkach mężczyzny, tradycjach narodowych. W ten sposób mądrze historyczna i geograficzna, doświadczenie mądrościowe, tradycje narodowe, z tradycjami religijnymi przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Potwierdza to św. Łukasz: „A gdy wypełnili wszystko według Prawa Pańskiego, wrócili do Galilei, do swego miasta – Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napełniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim”. Bóg był wychowawcą i zarazem treścią wychowania. W wieku trzynastu lat chłopiec osiągał dojrzałość fizyczną i odtąd był zobowiązany do zachowania postanowień Prawa. Ojciec przekazywał mu przeważnie swój zawód, gdzie nabywał praktycznych umiejętności. Przykładem Jezus, który był synem cieśli, lub synowie rybaka Zebedeusza.

Dziecko było darem Boga, lecz nie miało ono własnych praw, lecz było całkowicie zależne od swych rodziców. Oni chronili je, opiekowali się nim i łożyli na jego utrzymanie. Teksty biblijne mówią o tym, że stopniowo stawiano dzieciom wymagania, a w sytuacji krnąbrności nie cofano się

przed karaniem. To ostatnie traktowano jako konieczną metodę wychowawczą, stosowaną wtedy, gdy słowo zawodziło. Miało ono przełamać upór i brak szacunku.

Twarde zasady

Przez całe wieki także dorosłe życie dzieci zobowiązane były do okazywania rodzicom i starszym pokoleniom posłuszeństwa i szacunku. Czwarte przykazanie Dekalogu dowodzi, że owa karność względem rodziców była czymś naturalnym i oczywistym, zaś autor „Księgi Syracha” wzywa wręcz do częstego karcenia dzieci, przestrzegając przed rozpieszczaniem i pobłażaniem. Rozpieszczone dziecko bowiem „może wprawić ojca w osłupienie i sprawić mu smutek”.

Biblia mówi niewiele na temat dziecięcych zabaw, chociaż z pewnością były one znane. Tak np. dziewczynki miały swoje drobne radości: koleżanki i przyjaciółki, gry i zabawy, tańce. W Starym Testamencie mamy także wzmiankę o zawodach sportowych między chłopcami. W większych miastach znajdowały się stadiony i miejsca ćwiczeń fizycznych. Korzystała z nich zhellenizowana część społeczeństwa, w tym młodzież. Żydzi religijni stronili jednak od pogańskich wpływów i mieli do tych rozrywek spory dystans – w obawie przed złym wpływem pogańskich zwyczajów i wierzeń. Domyślać się jednak możemy, że bieganie po otwartej przestrzeni, gonitwa czy zapasy niewątpliwie były obecne we wspólnych zabawach.

Wkuwanie tekstów

Nauka rozpoczynała się już w domu, od najmłodszych lat, a szczególną okazją do kształtowania wiary dziecka było wspólne świętowanie, podczas którego tłumaczono mu znaczenie poszczególnych świąt. Opowiadano też o dziejach narodu wybranego i o tym, co Bóg uczynił dla przodków. Ale edukacja nie kończyła się na domu. W Palestynie w czasach Jezusa istniały także szkoły. Znany jest dokument wydany przez arcykapłana Jozeo Ben Gamala z 64 r., który wzywał rodziców, by posyłali swych synów do szkół. Wspomina on także o karach nakładanych na niesolidnych uczniach oraz na tych, którzy uciekali z zajęć, bo i tacy się zdarzali.

„Nauka szkolna w początkowym stadium polegała na powtarzaniu i przyswajaniu kwestii podawanych przez nauczyciela. Zapoznawano się również z alfabetem. Podstawą do ukazywania uczniom świata były księgi Pisma Świętego. Zakres zdobywanej wiedzy i poziom wykształcenia zależały natomiast w dużej mierze od możliwości i statusu społecznego rodziców ucznia i jego możliwości intelektualnych” – pisze ks. Krzysztof Kowalik w „Życiu dzieci w Ziemi Świętej w czasach Jezusa”.

„Pozwólcie dzieciom...”

Ów wspomniany nakaz arcykapłana mówi również o możliwości dalszego kształcenia w przypadku uczniów bardziej uzdolnionych. Na takich uczniów zwracano uwagę. Wskazuje na to opis rozmowy młodocianego jeszcze Jezusa z uczonymi w świątyni. Oni dostrzegają bystrość Jego umysłu i mądrze stawiane pytania (por. Łk 2, 46-47). Niekiedy w dalszej edukacji sięgano i do kultury hellenistycznej. Świadczy o tym wykształcenie św. Pawła.

Na „nową” pozycję dziecka w społeczeństwie wskazuje sam Jezus. Przedstawia to scena, w której błogosławi On dzieci i krytykuje sprzeciwiających się przeciw temu uczniom. Co ciekawe: nie ma tu rozróżnienia między chłopcami a dziewczynkami. Tym samym każde dziecko jednakowo jest ukazane jako pełnoprawny uczestnik królestwa Bożego (por. Mk 10, 13-16).

Jeszcze bardziej wymowny w tej kwestii będzie fragment „Listu do Hebrajczyków”, który zaznacza, że dzieci na równi z dorosłymi uczestniczą w owocach zbawienia. Pamiętano jednak, że dzieci nie są jeszcze w pełni dojrzałe i samodzielne. Stąd wzywano je do posłuszeństwa rodzicielskim nakazom, by dorastały do samodzielności, jak to czytamy w „Liście do Kolosan”.

Mariusz Grabowski

PULS

#196

Zwolnij



Leszek Waligóra

NA WOJNIE WARTO MIEĆ BUTY. I FOCHA



Dlaczego w Wielkopolsce wygrali powstanie? Bo jego nie można było przegrać - spróbował ponoć kiedyś zażartować jakiś warszawiak. Do domu nie wrócił. Spróbował też Agaton Koziński, sugerując: Napisz o wielkopolskim pragmatyzmie, w Poznaniu zaczynają powstania tylko wtedy, gdy wiedzą, że wygrają. A tu już 107. rocznica wybuchu. W sobotę!

Agatonowi wybaczę. On z Płocka, zdaje się.

I po prawdzie, może mieć trochę racji. Sęk w tym, że my, zadzierający nosa Wielkopolanie, zawsze zakładamy, że wygramy. Nawet jak Lech jedzie na Gibraltar, to zakładamy, że wygramy, choć dostajemy bęcki. Ale to całe przereklamowane pozytywistyczne myślenie nie zasadza się na wariackim przekonaniu o wyższości i strategii: huzia, z motyką na słońce. Każdy Wielkopolanin zna przepis na sukces i gdy pobieżnie przejrzałem swoje publikacje, odkryłem, że zdradziłem ten przepis już dawno temu. Nie czeka mnie jednak przymusowa emigracja z Wielkopolski, bo zdrada tej tajemnicy nic nie zmienia. W końcu ten przepis to tylko Ślązacy potrafią powtórzyć. Brzmi on: jeśli porywasz się z motyką na słońce, to się porządnie przygotuj. Naucz się języka wroga, zgromadź zasoby, wybierz czas i miejsce, gdy jest najślabszy.

A, i miej dobre buty. Dobre, suche i wygodne buty na wojnie bardzo się przydają.

Amerykanie powiedzieliby - i mieliby rację - że przydaje się jeszcze logistyka. Nie przez przypadek mają więcej ciężarówek niż czołgów.

I wywiad się przydaje, oczywiście, że tak. Powstańcy wielkopolscy w dużej części służyli wcześniej, siłą wcieleni, w pruskiej armii. A potem się okazało, że nie tylko znali język, wiedzieli, jak atakuje pruskie wojsko, ale też mieli w nim... kolegów. A koledzy gadać lubili. I, co u Niemców rzadkie, nie bardzo chcieli się już bić. Przynajmniej nie wszyscy.

Ale najbardziej na wojnie i to w Wielkopolsce wiemy, przydają się przyjaciele. Zagraniczni przyjaciele. Nawet tacy, których uczyliśmy ponoć jeść widelcami. Tacy, których fetowaliśmy, po to tylko, żeby po wojnie 1939 roku przypisać im, niesłusznie, cechy wielkich historycznych zdrajców i tchórzy. Peerelowska edukacja już o to zadbała.

Tymczasem, wstyd to przyznać, ale powstanie wielkopolskie było zwycięskie mniej więcej do lutego 1919 roku. I już za moment zmiotłaby je z powierzchni ziemi niemiecka kontrofensywa, gdyby nie pewien przyjaciel. Zagroził Niemcom, że jeśli planów nie porzucą, zrobi im na tyłach jesień średniowiecza. Podziałało.

5 lutego 1921 roku Józef Piłsudski odpiął z klapy swój własny krzyż *Virtuti Militari* i powiedział: „Znajduję się na tej ziemi francuskiej, zaprzysiężonej z Polską, którą z radością reprezentuję, w charakterze Prezydenta Republiki. Jednakże w obecności Wielkiego Wodza, który potrafił odnieść zwycięstwo wśród najtrudniejszych warunków, nie mogę zapomnieć, że jestem żołnierzem. Jako żołnierz podziwiam i podziwiam olbrzymie dzieło, jakiego dokonałeś, biorąc na swoje barki tak olbrzymią odpowiedzialność. I dlatego dziś z uczuciem głębokiej radości ofiaruję Ci krzyż „*Virtuti Militari*”, ten krzyż, który jest mi tak drogi, a który nosiłem na swojej piersi, jako Naczelny Wódz Armii Polskiej”.

Dzielnie się biliśmy. Ale nawet my sobie nie możemy wszystkiego przypisać. Gdyby nie francuski marszałek, Ferdinand Foch, nic by z tego zwycięskiego powstania nie było. Warto mieć przyjaciół.

Adam Bula

WIGILIJNA MISSION IMPOSSIBLE



To może dlatego jest tak trudne, że w sumie jest proste. Gdy wujek pisior zrędlawie zauważy, że przez Tuska karp w tym roku był droższy o 22 proc., nie odwijaj mu się, tuskowy pacholku, że za to o tyle samo potaniały grzyby. Powiedz lepiej, że karp pysznie przyrządzony. Tylko błagam, nie dodawaj, że jednak w zeszłym roku ryba podana przez Basię to było niebo w gębie.

Zauważyliście może telewizyjne spoty Fundacji Nowej Wspólnoty i jej akcję: „Spokojne Święta: Jak lepiej rozmawiać z bliskimi?”. Oczywiście, zadanie jest dość trudne, podobnie jak misja powołanej w 2020 r. fundacji: ograniczanie polaryzacji społecznej i odbudowa wspólnoty obywatelskiej w Polsce, rozumianej jako zbiorowość ludzi o różnych poglądach, którzy szanują się nawzajem i czują ze sobą więź.

No właśnie: więź! Za każdym razem, gdy ktoś wykrzykuje „prawdziwi Polacy”, gdzieś na świecie umiera miś koala. Zostaliśmy podzieleni na pół. Jedna połowa, ci „prawdziwi”, mają drugich za zdrajców, ci z drugiej części mają tamtych za tępych Januszy. Gdzieś pośrodku ukrywa się mała grupka cwaniaków, którzy nas na siebie napuszczają, bo tak im łatwiej wygrywać wybory.

Przynajmy jednak, sami dajemy z siebie robić stado baranów. Polaryzację społeczną dzieli się na dwa rodzaje: ideologiczną i afektywną. To pierwsza to różniące nas poglądy. Ta druga pokazuje, jak bardzo nie tolerujemy ludzi inaczej myślących. I - co wynika m.in. z badań wspomnianej wyżej fundacji - mamy tu ciekawy rozjazd. Na poziomie emocji mamy już berliński mur postawiony na lodowym pustkowiu. Tak mi przyszło do głowy, bo w badaniu z maja tego roku Polaków zapytano o ich emocje wobec wyborców innych partii, wyrażoną w skali termometru: -50 do +50 stopni Celsjusza. Wyborcy KO powiedzieli o pisowcach: minus 41 stopni. W drugą stronę wyszło minus 36 stopni. Nie darzą się odrobiną ciepła wyborcy Konfederacji i lewicy, wokół zera krążą uczucia na linii PiS - Konfederacja.

Według innych badań (konsorcjum badań nad demokracją V-Dem) rozłam emocjonalny w Polsce jest większy niż w USA - zajęliśmy

pod tym względem pierwsze miejsce na 49 badanych krajów. To kontrastuje z poziomem tej drugiej polaryzacji - tam, gdzie mówimy o samych poglądach. W zasadzie tylko kwestia aborcji rozcina nas nieodwołalnie, ale w samej Unii są cztery kraje, gdzie „głębokie różnice zdań na niemal każdą kwestię polityczną powodują większe starcia poglądów”.

Przekładając to na nasz obrazek: tuskowy pacholek bardziej nienawidzi pisiora, niż się nie zgadza z jego poglądami. I vice versa. To efekt propagandowego szczucia, gdzie podbijane są skrajnie negatywne emocje zamiast informacji, o co właściwie chodzi. Szczucia wspieranego upadkiem mediów - ale piszę o tym niemal co tydzień i nie chce mi się w te klimaty wchodzić przy Wigilii.

Wy może też spróbujcie. Dr Agnieszka Piotrowska, psycholożka dziecięca, w ciekawej rozmowie na portalu i.pl proponuje np., żeby na Wigilię zrobić regulamin i w nim zakazać rozmów o polityce. Kto się wyłamie, nie dostaje zaproszenia za rok.

To akurat wydaje mi się i zbyt radykalne i mało wykonalne. Polecę wam raczej metodę szerszego planu. Tu z kolei pomoże nagranie, na którym Joel Mokyr, tegoroczny laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, mówi tak:

„Europa jest bogata. Żyje się tu dobrze. 90% ludzkości żyjącej poza Europą chciałoby się tu przenieść. Życie w Europie jest tak dobre, jak nie było dobre jakiegokolwiek życie od początku istnienia ludzkości. I to jest ogromne, ogromne osiągnięcie”.

Czy nam to przypadkiem nie umyka? Nawet jeśli wierzycie Donaldowi Trumpowi, pyskującemu o upadku Europy, i dzisiejszej opozycji, wołającej o jeszcze większym upadku Polski - to... naprawdę mamy z czego upadać. A gdy wam wyskoczy jakiś rodzinny konfederata, gardłujący na złą Unię, to po prostu powiedzcie, że profesor Mokyr jest amerykańskim Żydem, dla którego cała Europa i tak jest dość mała i niekoniecznie ze swej perspektywy musi pamiętać, w jakiej biedzie jeszcze trzy dekady temu był mały, europejski kraik nad Wisłą.

Większy kłopot będzie, jak wujek ze wstępu już nie jest pisior, bo zawiedziony partią matką głosuje teraz na Brauna. A - jakby nie patrzeć - Joel Mokyr jest Żydem, no i wszystko jasne...

Mimo wszystko próbujcie. Dotrwać do pasterki.

PS. A co zrobić, gdy przy stole zaczyna się rodzinny „liberal”. Zlekceważcie typa. Przecież nie ma sensu wchodzić w dyskusję z pacholkiem niemieckiego pacholka.

Zawsze byliśmy Polsce wdzięczni; według mnie jesteśmy jednością. Nie możemy okazywać sobie żadnej wrogości, nie może być między nami wrogości. Gdybyśmy byli nieostrożni, to rzeczywiście moglibyśmy doprowadzić do zrujnowania tego sojuszu. On jest bardzo istotny dla przetrwania Europy i bardzo ważny dla bezpieczeństwa Polski



Wesołych Świąt!

Zdrowych, spokojnych, pełnych rodzinnego ciepła i pachnących
Wypasionymi wypiekami Świąt Bożego Narodzenia.
Niech Nowy 2026 Rok przyniesie wiele sukcesów w życiu
prywatnym i zawodowym życzy

Dariusz Szpiński

Prezes Zarządu Grupy
MLEKOVITA



www.mlekovita.com.pl

– Nie chodzi o to, żeby przestać się bać, tylko żeby mimo lęku wejść w to, co ważne. To, co nieznane, prawie zawsze uruchamia lęk, więc kurczowo trzymamy się tego, co znamy, bo to daje nam poczucie bezpieczeństwa. Wyjście poza tę granicę bywa prezentem, jaki możesz zrobić sama sobie – mówi słynna francuska wokalistka Zaz

Anita Czapryn

ZAZ: PRZEZ MOMENT TO BYŁO PIEKŁO. OCALELIŚMY MIMO WSZYSTKO

„Cali i zdrowi” (Sains et saufs) – tak po polsku brzmi tytuł Twojej najnowszej płyty. Co dla Ciebie znaczy ten tytuł?

To znaczy: ocaleliśmy mimo wszystko, mimo tego, przez co musieliśmy przejść. A momentami to było piekło. Kiedy patrzę na to, co dzieje się na świecie, na to, czego doświadczamy, co obserwujemy, to chciałam też pokazać, że istnieją miejsca, do których nic, co obce, nie ma wstępu. Każdy ma w sobie przynajmniej jedno takie miejsce. To jest nasze światło. Od nas zależy, czy je w sobie karmimy i pozwalamy mu rosnąć, czy je przygaszamy. Chciałam też powiedzieć, że warto otaczać się ludźmi, których kochamy i lubimy, ale też takimi, którzy odnoszą się do nas z takim samym szacunkiem, z jakim my odnosimy się do nich. To, co sobie dajemy, promieniuje dalej. To nie jest tylko ładne hasło. To jest odpowiedzialność. Bo dzięki temu stajemy się naprawdę szczęśliwsi. I jeszcze jedno: nie musimy tkwić w roli ofiary. Nawet jeśli przez jakiś czas nią byliśmy, w każdym momencie możemy powiedzieć „dość”. To jest świadoma decyzja.

Kiedy ostatnio pomyślałaś: wyszliśmy z tego cała? Jaka to była sytuacja?

Właściwie cały czas mam takie poczucie. Nieustannie jestem między światłem a emocjami, które nie zawsze są przyjemne. Mam wrażenie, że życie wciąż gra tę samą sztukę: przychodzą uczucia, a ja uczę się je przyjmować. I wiem z doświadczenia, że koniec nadejdzie. I zawsze jest zmiana. Nawet szczęście podlega tej zasadzie. To część doświadczenia, które nazywamy życiem.

Jeśli Twoja płyta miałaby kogoś uratować, to przed czym?

Gdyby mogła uratować kogoś przed czymkolwiek, to przekroczyłoby to moje oczekiwania. Bardzo tego sobie i innym życzę. Myślę o kimś, kto wraca do własnej mocy: do tożsamości, świadomości, sprawczości. Kto wreszcie daje sobie szansę realizować własne sny. Kto otwiera drzwi na to, co świat zewnętrzny może mu dać: wsparcie, obecność, towarzyszenie. Nie chodzi o to, żeby przestać się bać, tylko żeby mimo lęku wejść w to, co ważne. Sama właśnie tak żyję: czuję obawy, czuję strach, a jednak robię to, co robię. To bardzo ludzkie. To, co nieznane, prawie zawsze uruchamia lęk, więc kurczowo trzymamy się tego, co znamy, bo to daje nam poczucie bezpieczeństwa. Tyle że wyjście poza tę granicę bywa prezentem, jaki możesz zrobić sama sobie. Ale są też osoby, które wybierają trwanie w stanie zawieszenia, pustki.

Już po tytułach piosenek wiadać, że Twoja płyta jest bardzo osobista. I o tych piosenkach chciałabym porozmawiać. W utworze „Je pardonne” śpiewasz: „Wybaczam, ale pamiętam wszystko”. Co więc zostaje w Twoim sercu? Czego już nie niesiesz ze sobą? Komu przebaczyłaś w tym roku i jak Cię zmieniło?

Przed wszystkim: są rzeczy z mojego dzieciństwa, z którymi musiałam się rozprawić. I są też relacje z dorosłego życia, z którymi musiałam sobie poradzić, również związki, z których wychodziłam już jako dorosła. Oczywiście, w każdym przypadku z innych powodów, ale mechanizm czę-



Zaz: Czuję obawy, strach, a jednak robię to, co robię

sto jest ten sam. W gruncie rzeczy chodzi o to, że trzeba przestać oczekiwać, że druga strona spełni nasze wyobrażenia. Że będzie taka, jakiej chcemy, żeby była, skoro nie jest. Innymi słowy: trzeba przestać dokarmiać relację, która robi się toksyczna. Bo jeśli ktoś nie chce, nie potrafi, nie jest w stanie, to dlaczego trwamy w tej niemożliwości? A potem jesz-

cze wypominamy tej osobie, że nie jest taka, jakiej chcemy... Tyle że samo wypominanie jedynie podtrzymuje ten stan, zasila toksyczność sytuacji. A ja potrzebuję wolności. Wiem, to łatwo powiedzieć. Ale nie jest proste. Czasem zmianę da się zrobić w głowie, ale żeby była prawdziwa, musi przejść przez ciało, przez doświadczenie, przez czas. Przez to, co jest

w nas bardzo głęboko osadzone.

W jakim języku najłatwiej przebaczasz, po francusku czy po hiszpańsku?

Chyba jednak po hiszpańsku.

Co najmocniej kojarzy Ci się z hiszpańskim dzieciństwem, jaka to jedna rzecz, jedna scena?

Ludzie. Pamiętam domy, do których chodziłam jako dziecko. Była tam babcia, która potrafiła na mnie krzyknąć, ale nie jak na dziecko, tylko jak na człowieka. To był jeden z pierwszych momentów, kiedy poczułam, że jestem traktowana poważnie właśnie jako ja: nie dlatego, że jestem mała, tylko dlatego, że jestem sobą. W tej relacji była też miłość i była intensywność oraz to szczególne uznanie drugiego człowieka, nawet jeśli jest dzieckiem. I może dlatego tak lubię język hiszpański: jest w nim coś z tej energii. Choć oczywiście nie tylko o to chodzi.

Można powiedzieć, że wtedy narodziła się Twoja świadomość?

Myślę, że moja świadomość pojawiła się bardzo wcześnie. Bardzo szybko miałam w sobie tę jasność: kim jestem, dlaczego jestem na Ziemi, z kim i jak chcę być i co mam robić.

Kolejna piosenka, która mnie zatrzymała, to „Au pays des merveilles”, co znaczy – w krainie cudów. Jaka dziś jest Twoja prywatna kraina cudów, już bez iluzji, które dają różne używki?

No właśnie, śpiewam o krainie cudów, która była iluzją. To utwór o uzależnieniach: o alko-

holu, narkotykach, o różnych odmianach ucieczki. Ale podjęłam decyzję, że chcę wyłączyć się z tego świata, w realnym życiu. I z tego wynika, że nie szukam już mocnych sensacji w tych wszystkich substytutach. Szukam ich w sobie. A magię znajduję w rzeczywistości, bo ona jest o wiele bardziej magiczna niż świat, w którym wtedy żyłam. Tu jest więcej miłości, więcej świadomości, więcej poczucia więzi z innymi ludźmi. Na każdym kroku jest to wygrana. Wyznaczam też granice: pilnuję i kontroluję to, co kiedyś wymykało się spod mojej kontroli. To ma ogromny wpływ na moje życie, teraz, dzisiaj.

Kiedy słuchałam piosenki „Mon cœur tu es fou” (Moje serce, ty jesteś szalone), to zaskakowało mnie, kiedy Twoje serce ostatnio zwiariowało, w tym dobrym sensie?

Niedawno. Przeszłam przez trudne, złożone doświadczenia i zrozumiałam coś ważnego: nawet jeśli jest miłość, nie mogę zapominać o sobie. Mogę czuć smutek i cierpienie, ale najważniejsze jest, żeby pozostała spójna ze sobą. Żeby miałam oczy otwarte na to, co mi służy, co pozwala mi dorzekać i rosnąć. To są słowa z wiersza irańskiej poetki, która zmarła w latach sześćdziesiątych. Wtedy była uznawana za kontrowersyjną, bo mówiła o pragnieniach kobiety, a to wielu ludzi drażniło. Dla mnie ten wiersz jest zaskakująco bliiski: opowiada o mojej historii, o tym, co przeżyłam. I mimo tego wszystkiego, mimo okropności, które się w moim życiu wydarzały, ja wciąż mam otwarte serce. Wciąż czuję.

Mam w sobie coś, co można nazwać wiarą, ale nie w sensie religijnym: raczej jako nadzieję, oczekiwanie, zdolność tworzenia.

Ja też mocno czuję to, o czym mówisz.

Myszę, że wiele osób czuje podobnie. Dojrzewamy i widzimy, że społeczeństwo przechodzi ogromny wstrząs: na powierzchnię wychodzą wspomnienia, nawyki, to, czym nasiąkliśmy w rodzinach i kulturze. To wszystko domaga się uwolnienia i ułożenia, ale to nie dzieje się w jednej chwili. I od naszych indywidualnych reakcji zależy, czy ta zmiana zostanie z nami na dłużej, czy będzie tylko krótkim przebłyskiem. Jesteśmy częścią wspólnoty, ale każdy przeżywa to bardzo osobiście i albo wchodzimy w rezonans z tym, co się dzieje, albo nie.

Zwykły uśmiech uratował Ci kiedyś trudny dzień? Pamiętasz taki moment?

Tak. Jak wiesz, w Paryżu jest wielu migrantów. Teraz robi się zimno i wilgotno i to jest przejmujące, kiedy widzisz, gdzie oni śpią i jak bardzo nic nie mają. Ja wracam do domu, biorę prysznic, kładę się w ciepłym łóżku; to są dla mnie rzeczy podstawowe, a dla nich nieosiągalne. Mijamy się często, już się rozpoznajemy, choć oni nie wiedzą, kim jestem. Pamiętam pierwszy raz: jeden z nich spojrzał na mnie. Nie miałam przy sobie ani gotówki, ani drobnych, żeby mu dać. Po prostu więc uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział uśmiechem, takim od ucha do ucha i posłał mi całusa. I wtedy pomyślałam, że to on zrobił mi więcej dobrego niż ja jemu.

Skoro nie wierzysz w religijnym sensie, to z kim rozmawiasz w piosence „Mój Boże”?

W tej piosence to Ziemia rozmawia z Bogiem. Spodobała mi się ta perspektywa. Tyle że w pierwotnej wersji tekstu Ziemia mówiła: „Dlaczego mnie opuściłeś?”. I ja, rozmawiając z autorem tekstu, zaprotestowałam: nie, Ziemia nie może tego powiedzieć. W piosence pojawia się też zdanie: „Czekam, aż mój syn wróci”. I wtedy pomyślałam o Chrystusie jako o świetle. Tylko że to światło nie ma do kogo „wrócić”. To człowiek ma je ucieleśniać, każdy z nas. To nie jest czas czekania, aż przyjdzie ktoś z zewnątrz. To jest czas, żeby stać się tym, kim chcemy być. Jeśli chcesz czynić dobro. W piosence Ziemia mówi „żegnaj”, ale tak naprawdę zastanówmy się, kto ją opuścił? Ludzie. Ci ludzie, którzy dokonali określonych wyborów. Jesteśmy odpowiedzialni za swoje wybory. Jeśli nie zgadzamy się na wojnę, jeśli mamy dość tych, którzy się rozpychają,

żeby miażdżyć innych, to naszą odpowiedzialnością jest wejść w swoją sprawczość, w swoją moc. I o tym jest ta piosenka: Ziemia krzyczy z miłości i jednocześnie mówi nam: wróćcie do swojej siły. Ta zmiana dzieje się na naszych oczach. Gdybyśmy naprawdę się postarali, ona mogłaby wydrzeć się szybciej, niż nam się wydaje. Nie doceniamy ciężaru naszej zdolności tworzenia. Nie da się zmienić drugiego człowieka, ale można świadomie wybrać, kim chce się być. I to właśnie zmienia świat.

Co dziś robisz po swojemu, choć kiedyś nie miałaś na to odwagi?

Wiele rzeczy. Na przykład: kiedyś nie miałam odwagi, żeby przestać pić. Albo rzucić papierosów. Albo nawet, żeby przestać pić kawę. Może to brzmi śmiesznie, ale byłam od niej uzależniona i to chyba było dla mnie najtrudniejsze do odstąpienia. Myszę, że czasem uciekamy od rzeczy, z którymi nie umiemy się zmierzyć. Dlatego śpiewam też o tym, że przychodzi moment, kiedy trzeba przestać się związać w kłębek po tym, co nas spotkało i wrócić do życia. Zaryzykować. Życ naprawdę. Wracając do twojego pytania, to robię dziś wiele rzeczy, których wcześniej nie umiałam. Uczę się przebaczać. Przestaję bić się za sprawy, które mnie nie dotyczą. Mniej się tłumaczę. I próbuję nie być wobec siebie zbyt surowa, choć nie zawsze mi wychodzi. Bo kiedy przesadzam z wymaganiami wobec siebie, to czuję, jakbym raniła samą siebie. Uczę się też przyjmować emocje i to, co przynosi życie.

W piosence „Dziecko na zawsze” pytasz o to, co w Tobie z dziecka i co zostanie. Co byś odpowiedziała?

Wciąż jestem dzieckiem, czasem nastolatką, czasem dorosłą, czasem starą panną. Nasza kultura uczy nas, że mamy do odegrania różne role. A chodzi o coś innego: żeby żyć w harmonii ze sobą. W każdym wieku odkrywam w sobie coś, czego wcześniej nie znałam, ale dla mnie fundamentalne jest zachowanie w sobie tej dziecięcej części. Ta piosenka dotyka też pewnego zjawiska: gdy rodzic nie przeżyje żałoby po zmarłym dziecku, a potem rodzi się kolejne i dostaje nawet to samo imię. To wtedy takie dziecko nigdy nie zajmie swojego miejsca. Zostaje wciągnięte w rolę tamtego zmarłego dziecka. Dla mnie to utwór o zdrowieniu, o domknięciu żałoby w imieniu rodziców. Wiele dzieci umierało w mojej rodzinie, wielu moich bliskich tego doświadczyło. Dlatego ta piosenka jest dla mnie ważna. Była ważna, kiedy ją pisałam i wykonywałam po raz pierwszy i taka nadal pozostaje.

Jaki dźwięk z dzieciństwa wraca do Ciebie najczęściej?

Dźwięk grającego świerszcza. Pamiętam go bardzo konkretnie. W moim ogrodzie była taka mała górka, a w niej dziurka. Uwielbiałam tam chodzić, grzebać delikatnie palcem w ziemi tylko po to, żeby go wywabić i zobaczyć. Miał mały czarny pyszczek, czułka... i ten jego dźwięk jakby śpiew do dziś słyszę w sobie.

Jak pamiętasz ten moment, kiedy ktoś po raz pierwszy powiedział, że masz piękny głos i naprawdę uwierzył w Twoje śpiewanie?

Śpiewałam właściwie bez przerwy. I kiedy miałam siedem lat, wzięłam udział w radiowym konkursie w jednej z miejscowości w Bretanii, gdzie mam rodzinę. Zajął tam dwunaste miejsce. Ale ważniejsze było co innego: ludzie przyszli posłuchać, a w trakcie mojego występu zaczęli płakać. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: „O rany. To jest mocne”.

Jaką kołędę albo świąteczną piosenkę śpiewasz przy wigilijnym stole?

Szczerze? Raczej nie śpiewam w święta. Na co dzień śpiewam tak dużo, zawodowo, że w prywatnym życiu mam na to mniejszą potrzebę. Ale kiedyś miałam jedną ukochaną kołysankę, o małym chłopcu, o gwiazdach, o dzwoneczkach. Wraca do mnie jak ciepły kadr z dzieciństwa.

Jaki obraz świąt z dzieciństwa najmocniej w Tobie siedzi?

Pamiętam, że jako dziecko bardzo chciałam dawać prezenty. Moi rodzice mieli pieniądze, ale ja nie. I wtedy zaczęłam robić prezenty po swojemu: tworzyłam mnóstwo paczuszek, a do środka wkładałam karteczkę z krótkim przekazem. Trochę jak w ciasteczku z wróżką. Tylko tyle; chodziło o samą radość otwierania, o ten moment. Potem pod choinką roilo się od paczek, a ja byłam szczęśliwa. Czy inni też? Tego już nie wiem, ale dla mnie to był genialny pomysł.

Jakie więzi chronisz nawet kosztem własnej kariery?

Wszystkie, które mam. Ludzie, z którymi jeżdżę w trasy koncertowe, są mi naprawdę bliscy; bardzo ich lubię. Jestem wymagająca, więc czasem śmieją się, że bywam Brutusem. Zdarza mi się palnąć coś bez namysłu. Ale potrafimy to potem normalnie rozbroić i poukładać. I to działa, bo ja patrzę na ludzi przez pryzmat ich własnych wartości: szanuję je. A jednocześnie nie udajemy, że wszystko jest zawsze idealne. Mówimy sobie prawdę. Rodzina, przyjaciele, ludzie, z którymi pracuję, to jest mój krąg. Moje plemie. Nie umiem mieć relacji na pół gwizdka. Jeśli już, to na sto

GDZIEŚ TRWA WOJNA. I NAGLE ROZUMIESZ, JAK ŁATWO JEST NIE DOCENIĆ TEGO, CO MAMY NA CO DZIEŃ: WOLNOŚCI, SPOKOJU, ZWYKŁYCH CODZIENNYCH RZECZY

procent. Nie robię rzeczy powierzchniowe.

Wróć do płyty, bo jest też na niej piosenka „Bleu de la nuit”, kiedy więc noc ma u ciebie kolor niebieski?

To ten granat, który pojawia się na niebie, kiedy słońce zachodzi: jeszcze jest dzień, ale już wchodzi ciemność. Ten moment trwa krótko i właśnie o tym jest ta piosenka: korzystaj z niego, dopóki jest. To też metafora. Gdzieś trwa wojna. I nagle rozumiesz, jak łatwo jest nie docenić tego, co mamy na co dzień: wolności, spokoju, zwykłych rzeczy, które wydają się normalne. Dopóki coś jest dostępne, często nawet tego nie widzimy. Dopiero kiedy to tracimy, przychodzi myśl: „Kurczę, nie umiałam tego docenić, kiedy było”. Więc doceniajmy to, co mamy, takie, jakie jest.

Chciałabym zapytać o Twoją tatę. Czy zostało w Tobie jakieś ważne zdanie, gest, przedmiot, coś, co do dziś niszczy po nim?

Moja relacja z tatą była bardzo, bardzo skomplikowana. Toksyczna. A jednocześnie on był niezwykle wrażliwy. I chyba właśnie dlatego to było takie trudne. Był alkoholiczkiem, często był zły, jakby miał w sobie kilka wersji siebie. Miał też dużo mroku w sobie. Przez długi czas niewiele widziałam z tego, kim on naprawdę jest. Tak naprawdę zaczęłam go poznać dopiero jakieś trzy lata przed jego śmiercią. Trafił wtedy do ośrodka, do szpitala, musiał się dostosować, przestać pić. I wtedy najmocniej wyszło z niego dobro: to, że lubił się dzielić. Lubiał ludzi. Lubiał dawać.

Co powiedziałaś mu dzisiaj, gdyby żył?

Powiedziałabym: szkoda, że nie mogliśmy naprawdę się poznać. Szkoda, że nie stanąłeś do walki ze swoimi demonami. Że nie chciałeś przyjąć pomocy. Że nie umiałeś się za-trzymać i choć raz uczciwie spojrzeć na siebie, zamiast wciąż widzieć winę po stronie innych. Odizolował się. Został sam. I na końcu zniszczył wszystko wokół siebie. A prze-cież nie da się pomóc komuś, kto nie chce pomóc sam sobie.

Jesteś w Polsce, bo promujesz swoją płytę. Co polska publiczność najszybciej chwytła na Twoich koncertach?

Myszę, że łapią przede wszystkim moją energię. I chyba to, że jest w tym miłość do francuskiej piosenki, ale podana w nowoczesnym sznycie. Ważne są też wartości, które niosą moje teksty; one tu dobrze rezonują. W końcu wszyscy jako ludzie przechodzimy przez podobne emocje. A kiedy czujemy je razem, dzieje się coś prawdziwego: ludzie rozpoznają w moich piosenkach kawałek siebie. I dlatego do nich wracają.

Jest taki koncert w Polsce albo jedna chwila tutaj, którą zawsze będziesz pamiętać?

Jest ich wiele. Zostają mi w głowie kwiaty, które dostawałam, ale jeszcze bardziej są to twarze ludzi: radosne, zaangażowane, czułe na muzykę. Pamiętam też pierogi w małej, zupełnie nieturystycznej knajpce; poprosiłam, żeby nas tam zaprowadzono, chciałam zobaczyć zwyczajne miejsce. I pamiętam Utę, tłumaczkę, z którą pracowałam od początku, ma niesamowitą energię i charakter. Dla mnie Polska to przede wszystkim ludzie: silni, z wielkim sercem, tacy, którzy kiedy trzeba, wchodzą w działanie bez wahania. A jednocześnie jest w was kruchość: piękna wrażliwość, emocjonalność.

Kiedy dziś myślisz: „Wracam do domu”, to dokąd idziesz?

Dom to dla mnie moje psy, mój mąż, moi przyjaciele, ludzie, których kocham. Mam dom w Paryżu i w Pirenejach. Ale prawda jest taka, że czuję się u siebie we wszystkich górach. W Hiszpanii też się czuję jak w domu, tak samo w Ameryce Łacińskiej. Najbardziej u siebie jestem wtedy, kiedy jestem z ludźmi, z którymi płynie ten sam prąd, to samo porozumienie bez słów.

Czego potrzebujesz, żeby na co dzień czuć się naprawdę do-brze?

Ruchu i medytacji. Kiedy mówię „ruch”, to może być wszystko: joga, bieganie, intensywny trening, wędrówki po górach. Muszę się wyszumić, wydać energię. Daje mi to scena, bo śpiew to również jest wysiłek. Potrzebuję też dobrze zjeść. I być z ludźmi, których lubię; najlepiej z takimi, którzy są czymś zafascynowani, bo pasja jest zaraźliwa. Jest jeszcze malarstwo. I w ogóle sztuka, ale nie tylko ta w ramie. Jest też sztuka bycia z innymi ludźmi.

Tworzenia. Odkrywania z nimi nowych rzeczy.

Czego sobie życzysz na te najbliższe święta? Tak konkretnie.

Żebyśmy byli razem, rodzinie. Żebyśmy dzielili dobre chwile: gotowali, śmiali się. Ale też żebyśmy umieli rozmawiać o rzeczach łatwych i o tych trudnych. I żebyśmy sobie po prostu towarzyszyli. Tylko tyle i aż tyle.

Za co dziś jesteś najbardziej wdzięczna?

Za mnóstwo rzeczy. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy: za mamę. Zrobiła, co mogła, tymi narzędziami, które miała. Nawet jeśli nie wszystko wychodziło jej idealnie, zrobiła bardzo dużo rzeczy dobrze. I gdybym od niej tego nie dostała, nie byłabym tu, gdzie jestem. Jestem wdzięczna również za spotkania: także te bolesne, choć oczywiście szczególnie za te wyjątkowe. Jestem wdzięczna samej sobie za odwagę, żeby działać i wierzyć. Za męża, który znosi mnie na co dzień. I za wiele innych rzeczy: przeżyłam sporo trudnych doświadczeń, a jednocześnie byłam świadkiem mniejszych i większych cudów.

To moje ostatnie pytanie: wierzysz w cuda? Jakie cuda wydarzyły się w Twoim życiu?

Nie mogę opowiedzieć wszystkiego, bo ktoś mógłby uznać mnie za szaloną. Ale właściwie... co z tego. Dla mnie już samo to, że istnieję, jest cudem, w tym sensie, że wiele razy umierałam i rodziłam się na nowo. Cuda nazywamy cudami często tylko dlatego, że nie umiemy ich wyjaśnić. Brakuje nam percepcji, żeby je zobaczyć do końca. A jednak wszystko da się jakoś wytłumaczyć. Można też uznać, że wszystko jest magią: jesteśmy przecież na małej kuli pędzącej przez kosmos; gdyby zabrakło choćby jednego elementu równowagi, wszystko by się rozsypało. Kiedy byłam dzieckiem, miewałam wizje, które potem się spełniały. Tylko nigdy nie będę wiedziała, czy je przeczułam, czy sama je jakoś stworzyłam. I myśle, że widzę rzeczy, których inni nie widzą, ale to nie jest nic wyjątkowego: każdy z nas ma inną wrażliwość, inną antenę ustawioną na coś innego. W życiu jest trochę tak, jak w starych radiach z pokrętelem częstotliwości: kiedy ustawisz się na jakąś falę, wydarza się jedno, a kiedy trafisz na inną, dzieje się coś zupełnie innego. Kiedy byłam nastolatką, miałam wrażenie, że słyszę wszystko naraz, cały ten zakres i robił się z tego chaos. Ale przecież każdy ma jakieś doznania, intuicje, prze-czucia. Nie ma sensu od razu nazywać tego szaleństwem.

– Amerykańsko-rosyjskie negocjacje w sprawie losu Ukrainy przypominają spotkanie w Monachium z 1938 r., w czasie którego Wielka Brytania i Francja poświęciły Sudety w Czechosłowacji w nadziei zaspokojenia ambicji Hitlera – mówi Thierry Wolton, francuski eseista

Agaton Koziński



Thierry Wolton: Putin stanowi dla Europy zagrożenie egzystencjalne, równie duże jak w swoim czasie Hitler. Na szczęście jest on starszy niż nazistowski przywódca, więc można mieć nadzieję, że nie zrealizuje w pełni swojego planu, jakim jest wywołanie konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Europą

THIERRY WOLTON: JESTEŚMY ZNÓW W 1938 ROKU

Czytał Pan „Opowieść wigilijną” Charlesa Dickensa? W jakim stopniu opisane w niej emocje są uniwersalne? Czy wartości z XIX wieku są nadal aktualne w obecnym stuleciu?

Trudno mi wyobrazić sobie Elona Muska, Marka Zuckerberga lub szwajcarskich, rosyjskich i chińskich miliarderów ogarniętych w Boże Narodzenie wyrzutami sumienia do tego stopnia, że rozdają część swojego majątku dziesiątkom milionów ubogich ludzi na całym świecie. Oni nie zachowują się tak jak bohater

bajki Dickensa. Bill Gates jest jedynym wielkim szefem z branży nowych technologii, który dzieli się swoim majątkiem za pośrednictwem swojej fundacji - niezależnie od tego, czy jest Boże Narodzenie, czy nie. Należy pochwalić jego gest.

On jeden odpowiedział na apel Dickensa?

W przeciwieństwie do pana nie mam przekonania, czy Europejczycy na przełomie XIX i XX wieku mieli wyrzuty sumienia odnośnie tego, jak postępowali. Pomyślmy choćby

o kolonizacji, która była wtedy w pełnym rozkwicie. Czy kolonizatorzy naprawdę mieli wyrzuty sumienia? Wątpię. W tamtych czasach część polityków potępiała ich działania, co jednak nie przeszkadzało w kontynuowaniu wyzysku skolonizowanych regionów.

Dickens napisał swoją powieść w szczytowym okresie rewolucji przemysłowej. Dziś żyjemy w erze rewolucji cyfrowej. Czy możemy spodziewać się autora, który napisze „Opowieść wigilijną 2.0”?

Każda rewolucja społeczno-gospodarcza wywołuje wstrząs i głęboko zmienia dotknięte nim społeczeństwa. Rewolucja przemysłowa XIX wieku doprowadziła do zubożenia dziesiątek milionów ludzi. Większość z nich pochodziła ze wsi, ale rzeczywistość zmusiła ich do przenosin do miasta, gdzie musieli pracować w fabrykach po 10-15 godzin dziennie za głodowe wynagrodzenie.

Dziś rewolucja cyfrowa doprowadza do tego, że głównie siedzimy w domach - gdzie

przy laptopach i smartfonach też spędzamy po 10-15 godzin dziennie.

Zgadza się, tak to wygląda w krajach rozwiniętych. Ale już w Azji i Afryce nic się nie zmieniło, sytuacja przypomina tę, którą obserwowaliśmy w Europie w XIX wieku. Dzieje się to z korzyścią dla najbogatszych i tych, którzy są najbardziej zaawansowani w opanowywaniu nowych technologii. Korzystamy z tej taniej siły roboczej do produkcji komponentów elektronicznych niezbędnych do działania komputerów i sztucznej

inteligencji. W tym sensie od czasów Dickensa nic się zasadniczo nie zmieniło - poza tym, że teraz wstrząsy rozgrywają się pod inną szerokością geograficzną.

Ta rewolucja oznacza dla Azji i Afryki tylko kryzys? A może też szansę?

Należy zaznaczyć, że tak krytykowana globalizacja znacznie zmniejszyła liczbę osób żyjących w skrajnym ubóstwie, czyli za mniej niż 2,5 dolara dziennie. W 1990 r. było to 36 proc. światowej populacji, w 2025 r. ten odsetek spadł do 9 proc. Widać więc zmianę na lepsze - choć nadal jest ona niewystarczająca.

Rozwarstwienia, do których doprowadziła rewolucja przemysłowa, sprawiły, że Europa przeżyła w XX wieku dwie wielkie wojny. Czy wnioski wyciągnięte z tych wojen straciły już na aktualności?

Niestety, dziś zaczynają się uwidaczniać podobieństwa. Proszę pamiętać o ważnym czynniku: gorące nacjonalistycznej. To ona odegrała kluczową rolę w obu światowych konfliktach minionego stulecia. Obecnie mamy do czynienia z podobną sytuacją. Władimir Putin wyraźnie tęskni za Wielką Rosją, która została upokorzona wraz z upadkiem komunizmu. Z kolei Xi Jinping pragnie zemścić się na Zachodzie, który w pierwszej połowie XIX wieku - prowadząc wojnę opiumową - przyspieszył upadek ówczesnego chińskiego imperium.

Z tamtego upadku Chin zaczęły wychodzić dopiero pod koniec poprzedniego stulecia.

I po raz kolejny się potwierdza, że nacjonalizm jest najlepszym środkiem mobilizującym społeczeństwa - zwłaszcza w sytuacji, gdy znikają stałe punkty oparcia. Współczesny świat jest pogrążony w kryzysie gospodarczym, a także duchowym, a to wszystko sprzyja wojnie.

Kryzysów gospodarczych Zachód miał wiele po 1945 r. - ale żaden wojną się nie skończył.

Nic nie zastąpi dobrej wojny, aby ożywić gospodarkę, by ująć to brutalnie. Teraz zbiega się ze sobą kilka czynników w jednym momencie. Ponownie doświadczamy powolnego wzrostu gospodarczego w krajach rozwiniętych. Jednocześnie ludzie poszukują swojej drogi między wolnością, nowoczesnością, konserwatyzmem i bezpieczeństwem, w zależności od obozu i punktu widzenia. Wojna to też pewna forma eugeniki: przy ponad 7 miliardach ludzi żyjących na świecie, przy szybko rosnącej emigracji tak bardzo budzącej obawy wielu narodów, istnieje po-

kusa rozwiązania tych problemów w sposób ilościowy, czyli poprzez eliminację pewnej liczby ludzi.

Naprawdę Pan uważa, że takie procesy jak wojna są planowane?

Jest to skłonność bardziej nieświadoma niż świadoma. Trudno to przyznać, a jeszcze trudniej powiedzieć, ale nowa globalna konfrontacja pozwoliłaby tymczasowo rozwiązać te egzystencjalne kwestie. Podkreślam, że rozważanie tego nie oznacza, że ja tej wojny pragnę. Po prostu widzę, jak różne czynniki zbiegają się ze sobą w jednym miejscu.

Rozmawiamy przy okazji wydania Pańskiej książki „Historia komunizmu na świecie. Współsprawcy”. Twierdzi Pan w niej, że narodziny komunizmu były reakcją na ogromne nierówności społeczne charakteryzujące Europę XIX i początku XX wieku. Dlaczego robotnicy dostrzegli w komunizmie swoją szansę?

W tamtym czasie komunizm postrzegano jako obietnicę emancypacji. Karol Marks twierdził, że walka klasowa położy kres wyzyskowi kapitalizmowi, a Włodzimierz Lenin mówił, że w systemie komunistycznym kucharka będzie rządzić państwem! Logiczne jest, że klasa robotnicza - a raczej część tej klasy, która uległa komunistycznej propagandzie - widziała w tych obietnicach szansę na swoje zbawienie. Jednak szybko nastąpiło rozczarowanie. Już w pierwszych miesiącach rządów bolszewików rosyjscy robotnicy zrozumieli, że nic się nie zmieni. Co gorsza, szybko zostali brutalnie uciszeni i nie mogli dochodzić swoich roszczeń. Tylko w Europie Zachodniej ślepotą pozwoliła na utrzymanie komunistycznych obietnic.

W Europie tradycyjnie obrońcą ubogich i wykluczonych był Kościół katolicki.

Dlaczego więc robotnicy nagle zaczęli pokładać nadzieję w komunizmie, który od początku przedstawiał się jako przeciwieństwo Kościoła? Siła przyciągania komunizmu wynika częściowo z tego, że plagiował on przesłanie chrześcijańskie. Co obiecuje Kościół, jeśli nie to, że ostatni będą pierwszymi w niebie? To samo twierdziła doktryna komunistyczna w odniesieniu do dyktatury proletariatu.

Tyle że chcieli to robić bez Boga.

Właśnie. Prawdziwa różnica między chrześcijaństwem i komunizmem polega na weryfikacji obietnic. Nikt nie był w stanie sprawdzić, czy to, co głosi religia, jest prawdą, po-

nieważ nie wiadomo, co dzieje się po śmierci. Natomiast obietnice komunizmu rozbiły się o sposób, w jaki były one realizowane. Należy zauważyć, że pod rządami komunistycznymi Kościół był czasem schronieniem, a nawet bastionem oporu. Najlepszym tego przykładem jest Polska.

Opór polskiego Kościoła wobec komunizmu doprowadził do wyboru Jana Pawła II na papieża.

Polska stała na czele walki antykomunistycznej i jako pierwsza uwolniła się spod jarzma sowieckiego dzięki roli, jaką w tym odegrał Kościół katolicki. Kościół potrafił utrzymać wartości, które komuniści chcieli zniszczyć, tak jak udało im się uczynić w innych krajach, w których przejęli władzę po 1945 roku.

W jaki sposób komunizm, ideologia oparta na bardzo szlachetnych zasadach, przekształcił się w zbrodniczy totalitaryzm? Jak opisałby Pan ten mechanizm?

Nie mogło być inaczej, katastrofa tej doktryny była wpisana w nią samą. Po pierwsze, komunizm nie umiał zaakceptować żadnej innej ideologii poza własną. On dążył do tego, żeby w pełni zdominować umysły. To jest istota totalitaryzmu. Marks, mistrz teorii, powiedział, że walka klasowa jest motorem historii. Teoria ta, rozumiana dosłownie, oznacza, że aby posuwać się naprzód w historii, należy prowadzić walkę klasową. Dokładnie to robiły wszystkie kraje komunistyczne na świecie, łącznie było ich 26. Po przejęciu władzy one konsekwentnie niszczyły klasy społeczne, które uważały za szkodliwe: najpierw rolników, potem burżuazję, następnie intelektualistów, księży itp. Wszystko to w nadziei na postęp. Tylko co udało się osiągnąć w ten sposób? Jedyne zniszczono ludzi i doprowadzono do upadku systemu.

Dlaczego komunizm był tak długo akceptowany na świecie, pomimo swojego zbrodniczego charakteru?

Komunizm jest wierzeniem, starał się stać religią bez Boga. W rzeczywistości zamienił się w opium dla intelektualistów - jak go kiedyś określił filozof Raymond Aron. Wiara w komunistyczne idee skutecznie przesłaniała realne spojrzenie

na rzeczywistość. Przecież przez dekady wielu zachodnich intelektualistów jeździło do Związku Radzieckiego lub maoistowskich Chin - ale tam nie widzieli niczego złego, ponieważ nie chcieli widzieć. Ten ich współudział przez długi czas pozwalał reżimom komunistycznym przetrwać, pomimo cierpień, którym poddani byli obywatele komunistycznych krajów. I nikt o tym nie mówił - choć zawsze można było dowiedzieć się prawdy o komunizmie, jeśli ktoś tego chciał.

W swojej książce zwraca Pan uwagę, że zbrodnie komunistyczne nigdy nie zostały w pełni osądzone. Czego zabrakło?

Przede wszystkim brak woli politycznej. Na wszystkich poziomach. Ze strony państw demokratycznych górę wzięła szybka chęć zamknięcia tego rozdziału i powrotu do normalności. Ze strony społeczeństw zachodnich - obojętność wobec nieszczęść innych. Wszyscy chcieli spuścić tę zasłonę milczenia, bo każdy miał świadomość wszechstronnego współudziału w tym procesie. W krajach kapitalistycznych prawie wszyscy - od szefów koncernów przemysłowych, przez polityków po obywateli - byli współwinni, choćby poprzez milczenie lub zaniechanie.

Milcząca większość zwykle milczy o procesach politycznych.

To zjawisko widzimy dziś ponownie w przypadku współczesnych komunistycznych Chin. Wszyscy wiedzą, że ten reżim jest totalitarny, że uciska swój naród, zwłaszcza Ujgurów i Tybetańczyków, że stanowi zagrożenie dla swoich najbliższych sąsiadów, ale mimo to wielkie mocarstwa zabiegają o względy Xi Jinpinga. Nigdy nie docenia się wystarczająco roli chciwości, przekupstwa i egoizmu jako czynników powodujących obojętność wobec losu innych.

Ale Pan mówi o bieżącej polityce - a ja zapytałem o przeszłość. Dziś już jasno wiadomo, jak zbrodniczy był komunizm. Mimo to brakuje jednoznacznego rozliczenia tego systemu.

Osądzanie zbrodni komunizmu nie było łatwe pod koniec ubiegłego wieku i nadal nie jest łatwe dzisiaj. Żadne państwo komunistyczne nie prze-

grało wojny. W przeciwieństwie do III Rzeszy. Naziści ponieśli porażkę, więc zwycięzcy mogli narzucić swoje prawo w Norymberdze. A jak ma osądzać komunizm, skoro główni oprawcy już nie żyją? Lenin, Stalin, Mao, Castro, Pol Pot, Ceausescu i wielu innych już dawno odeszli z tego świata. Wszystko to sprawia, że komunizm stopniowo znika z pamięci, w przeciwieństwie do nazizmu, który na szczęście został wykluczony z ludzkości. Ponadto różnorodność ofiar tych reżimów utrudnia osąd. W przypadku nazizmu było to prostsze, jeśli tak można powiedzieć, ponieważ głównymi ofiarami byli Żydzi. W przypadku komunizmu ofiarą była ludzkość w całej swojej różnorodności, co moim zdaniem jest wymiarem trudnym do ogarnięcia w ramach jednej oceny. I jest jeszcze jedna trudność, którą trudno przezwyciężyć.

Jaka?

Opór ideologiczny i moralny - to on sprawia, że tak wiele osób nie jest gotowych jednoznacznie potępić komunizm, a jego zbrodni uznać za zbrodnie przeciwko ludzkości.

Historia zatacza koło, dziś nierówności społeczne na świecie ponownie gwałtownie rosną - jak w XIX wieku. Według szacunków Rezerwy Federalnej 0,1 proc. najbogatszych Amerykanów posiada 14 proc. prywatnego majątku zgromadzonego w Stanach Zjednoczonych, podczas gdy jeszcze 15 lat temu posiadali oni jedynie 10 proc. Czy zapowiada się nowa era komunizmu? Kto będzie dziś bronił wykluczonych i najbardziej ubogich?

Era komunizmu dobiegła końca. Ta ideologia powstała w XIX wieku, a została wprowadzona w życie w XX wieku - co zresztą okazało się jedną z przyczyn jej porażki i ogromnych szkód przez nią spowodowanych. Komunizm towarzyszył, jeśli można tak to określić, rewolucji przemysłowej. Ale od tamtej pory świat poszedł naprzód. Na razie nie widać żadnej teorii ani doktryny, która mogłaby zastąpić marksizm-leninizm. Czy należy się tym martwić, skoro z doświadczenia wiemy, jak śmiertelne mogą być idee?

Polska przez komunizm przeszła - i trudno znaleźć tych, którzy się martwią faktem, że to czas przeszły.

Właśnie. Oczywiście, należy zmniejszać nierówności, potępić wyzysk, nieść pomoc najbardziej ubogim. Ale jestem na tyle naiwny, by wierzyć, że - jak powiedział Winston Churchill w swoim słynnym stwierdzeniu - demokracja to bez wątpienia najgorszy sys-

tem, z wyjątkiem wszystkich innych. Odrobina socjaldemokracji w tym systemie może sprawić, że stwierdzenie Churchilla stanie się jeszcze bardziej prawdziwe.

Mówi Pan, że era komunizmu już minęła. Byłem w listopadzie w Lyon i w kiosku znalazłem gazetę „Lutte Ouvrière”, tygodnik z sierpem i młotem w logo. Zakładam, że ktoś kupuje te gazety, skoro są sprzedawane.

Nie twierdzę, że komunizm został całkowicie wyeliminowany. Po pierwsze, nadal istnieją kraje, które wyznają marksizm-leninizm. Korea Północna, Chiny, Wietnam, Laos, Kuba, Erytrea to najbardziej jaskrawe przykłady. Po drugie, ideologia cały czas się tli. Jej nieliczni zwolennicy, garstka nostalgików podsyca ten mały ogień.

Nie zawsze ogień da się kontrolować, w każdej chwili może się wymknąć spod kontroli. Takie gazety jak „Lutte Ouvrière” łatwo się od niego zająmą.

Moim zdaniem nie ma takiego ryzyka, żeby zaczęła płonąć cała równina - by trawestować powiedzenie Mao Zedonga. Są też tacy zwolennicy tej ideologii, którzy twierdzą, że prawdziwy komunizm nigdy tak naprawdę nie powstał - i są pewni, że to właśnie im uda się to osiągnąć.

Zohran Mamdani, polityk odwołujący się otwarcie do tej ideologii, został niedawno burmistrzem Nowego Jorku.

Dla mnie argument o tym, że prawdziwego komunizmu nigdy nie było, nie jest zbyt wiarygodny. Reżimy, które wyznawały tę ideologię w ubiegłym stuleciu, zakończyły się katastrofą, niezależnie od ich historii, kultury, położenia geograficznego itp. Te próby nigdzie się nie sprawdziły. Gdzie więc wprowadzić „prawdziwy” komunizm? Na Księżycu?

Przejęcie władzy przez komunistów na początku XX wieku zbiegło się w czasie z wybuchem pierwszej wojny światowej. Dzisiaj wojna szaleje na Ukrainie. Rozmawialiśmy rok temu i wtedy bardzo Pan obawiał się wybuchu trzeciej wojny światowej. Czy cofnęli się do 1913 roku?

Raczej do 1938 roku! Przecież amerykańsko-rosyjskie negocjacje w sprawie losu Ukrainy przypominają spotkanie w Monachium z 1938 roku, w czasie którego Wielka Brytania i Francja poświęciły Sudety w Czechosłowacji w nadziei zaspokojenia ambicji Hitlera i złagodzenia zagrożenia, jakie stanowił on dla Europy. To właśnie po konferencji w Monachium Churchill zwrócił się do ówczesnego

brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina następującymi słowami: „Chciałeś uniknąć wojny za cenę hańby. Masz hańbę i będziesz miał wojnę”.

I teraz historia się powtarza? Mamy nowe pokolenie Chamberlainów?

Nie sądzę, żeby historia się powtarzała. Ale faktem jest, że zachowania ludzi w obliczu wydarzeń są często takie same. Uważam, że Putin stanowi dla Europy zagrożenie egzystencjalne, równie duże jak w swoim czasie Hitler. Na szczęście jest on starszy niż nazistowski przywódca w momencie podpisania układu monachijskiego, więc można mieć nadzieję, że nie zrealizuje w pełni swojego planu, jakim jest wywołanie konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Europą, a następnie finlandyzacja Starego Kontynentu z korzyścią dla Rosji. Ale w najbliższej przyszłości należy się niestety obawiać, że Ukraina - pod presją Stanów Zjednoczonych i przy bezsilności Europy - straci swoją suwerenność, tak jak niegdyś Czechosłowacja. Wtedy my (demokracje zachodnie) poniesiemy hańbę, nie będąc w stanie zapobiec wojnie!

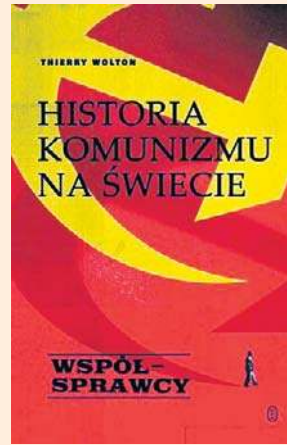
CV



FOT. J. PAGA

Thierry Wolton

Dziennikarz, eseista, wykładowca uniwersytecki, autor ponad dwudziestu książek poświęconych historii krajów komunistycznych, stosunkom międzynarodowym i polityce francuskiej. Jego najnowsza publikacja to „Historia komunizmu na świecie. Współsprawcy”, trzeci tom epickiej historii światowego komunizmu (Wydawnictwo Literackie, 2025)



DOROTA SUMIŃSKA: TRZEBA WIEDZIEĆ, DLACZEGO POTRZEBUJEMY PSA

Jeżeli czujemy chęć uszcześliwienia kogoś i umiemy w pełni zaakceptować odrębność gatunkową, nie wymagać od tego psa, żeby nagle stał się człowiekiem i szanował naszego Ludwika XVI, to jest okej. Natomiast, jeżeli bierzemy psa, bo sąsiad ma, bo w filmie biegał i taki mądry był, bo ma śmieszny mordkę, to w ogóle nie powinniśmy brać do siebie zwierzątko – mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt

Dorota Kowalska

Spędza pani święta ze swoimi psiakami?

Nie mam innej możliwości, bo przecież samych ich nie zostawię.

Ile ich pani teraz ma?

Teraz to już prawie ich nie mam, bo zostało mi w domu pięć psów i osiem kotów, a jeszcze sześć w budzie ogrzewanej.

I siedzą z panią w domu w święta?

A gdzie mają siedzieć?

Ale prezentów im pani nie robi?

Zwierzęta święta nie obchodzą tak jak my, więc prezentów im nie robię, ale one czynnie uczestniczą we wszystkim, co ze świętami związane. W końcu to ja u nich mieszkam, a nie one u mnie.

Gdyby zwierzęta mówiły ludzkim głosem, jak pani myśli, co by nam powiedziały w Wigilię Bożego Narodzenia?

Mamy szczęście, że nie mówią. Powiedziałyby nam prawdę, a prawda jest okrutna i bardzo bolesna. Więc całe szczęście...

A jaka jest prawda?

Prawda jest taka, że traktujemy zwierzęta gorzej niż rzeczy. Zwierzę można kupić, sprzedać, oddać, zostawić w spadku, zabić, zjeść. Wszystko można ze zwierzęciem zrobić. Uważam, że

gdyby zwierzęta mówiły, byłoby o tyle dobrze, że usłyszełybyśmy prawdę, bo my tej prawdy nie przyjmujemy, my jej nie akceptujemy. Uważam, że jesteśmy hipokrytami do potęgi, a one nie są.

Czemu ma pani takie złe zdanie o właścicielach psów?

Mówię o ludziach w ogóle.

Mam wrażenie, że czasami jest wręcz odwrotnie, że właściciele psów traktują swoich pupili jak ludzi.

Bardzo bym chciała, żeby tak było, ale tak nie jest. Proszę nawet popatrzeć na słownictwo. Jak się do kogoś powie: „Ty psie” albo „Ty suko”, to jak to brzmi?

Żle.

No właśnie! Uważam, że w ogóle w Polsce trzy czwarte ludzi, jeśli nie więcej, którzy mają zwierzęta, nie powinno ich mieć. W Polsce, niestety, jest za dużo zwierząt. Stąd wynika cały szereg problemów, dotyczących między innymi również psów i kotów, bo ciągle mamy jakieś debaty: łańcuchowe, niełańcuchowe. Tego by nie było, gdyby zwierzęta było mniej. Wtedy mieliby te zwierzęta ci, którzy powinni je mieć. I to nie chodzi o to, żeby ktoś robił łaskę, zabierając zwierzę ze schroniska, tylko chodzi o to, żeby to był swego rodzaju zaszczyt, że można mieć psa.

Dlaczego pani uważa, że trzy czwarte właścicieli psów nie powinno ich mieć?

A proszę mi powiedzieć, skąd się biorą te ciągle rosnące ilości zwierząt w schroniskach? No skąd one się biorą? Tak się mnożą same po lasach?

Nie wiem.

A ja wiem: biorą się z domów, z ludzkiej nieodpowiedzialności.

Powiem pani szczerze: sama mam psa, znam wielu właścicieli psów i uważam, że zastępują na te zwierzęta.

Każdy z nas żyje w bańce, otacza się ludźmi podobnymi sobie. Nie przyjaźniłaby się pani z człowiekiem czy nie kontaktowała z człowiekiem, który wedle pani postępowałby źle wobec zwierzęcia, prawda?

Prawda.

No właśnie! Każdy ma, mówi się, że do stu znajomych osób, a proszę zobaczyć, jak wiele ludzi żyje na naszej planecie. Więc nie zna pani mnóstwa ludzi i realiów, w jakich znaj-

dują się zwierzęta. Zwierzęta towarzyszące, psy i koty, są w Polsce w tragicznej sytuacji. Tragicznej!

Dlaczego?

A była pani w którymś ze schronisk? Ciągłe ich przybywa. Niech pani sobie pojedzie do jednego z nich i popatrzy. Niech pani sobie poczyta na ten temat. Schroniska, przygminne przytuliska, przechowalnie – bezdomność wśród zwierząt cały czas rośnie. Mamy coraz więcej zwierząt takich jak psy i koty, których nikt nie chce.

Dlaczego uważa pani, że właściciele psów, którzy je mają, traktują te zwierzęta źle? Co robią źle?

Nie mówię, że wszyscy. Też mam zwierzęta i uważam, że traktuję je dobrze. Jedna czwarta postępuje dobrze. Proszę zobaczyć, co się dzieje na prowincji, dlaczego walczymy o zdjęcie z psich szyi łańcuchów? Te psy mają przecież opiekunów. Czy powinni z nimi być? A psy w boksach

metr na metr na końcu działki, na której stoi pałac, czy powinny tam być? Nie. Mamy dużą prowincję, na której psy są traktowane beznadziejnie. Chociaż są przypadki w miastach, kiedy pies jest zamykany chociażby na balkonie. Proszę pamiętać: żyjemy w naszych bańkach. Mamy znajomych, którzy mają psy, oni je kochają, my kochamy nasze psy i wydajemy nam się, że cały świat taki jest. Nie jest.

Co jeszcze ludzie robią źle? Pomijam sytuacje, kiedy psy są na łańcuchach albo w bardzo małych kojach. Myślę raczej o tych, którym wydaje się, że traktują swoje zwierzęta dobrze.

Żle je żywią, traktują zwierzęta jak swego rodzaju zabawkę, porzucają. Przecież tak się co roku dzieje przed wakacjami czy przed większymi świętami. Zwierzęta są ciągle porzucane. Usypiają zwierzęta przed czasem, bo zaczynają im przeszkadzać. Jest cały wachlarz zachowań w stosunku do zwierzęcia gorszych niż w stosunku do rzeczy.

A wydawałoby się, że świadomość rośnie i stosunek do zwierząt się zmienia.

To jest świadomość wirtualna. Wszyscy kochają zwierzęta w internecie, na różnych forach – tam miłość do psów czy kotów kwitnie. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Dlaczego? Jak pani myśli?

Dlaczego tak jest? Dlatego, że zwierząt jest za dużo i każdy może mieć psa lub kota. Tylko dlatego, to jest to, co powiedziała na początku. Trzeba radykalnie zmniejszyć populację zwierząt. Jest to możliwe wyłącznie poprzez obowiązkową kastrację psów i kotów nieprzeznaczonych do reprodukcji. Dopóki się tego nie zrobi, dopóty będzie coraz gorzej, bo zwierząt będzie coraz więcej.

Uważa pani, że ludzie nie powinni mieć zwierząt, bo za mało wiedzą? Bo im za łatwo przeszły? Żle traktowanie psów i kotów to, pani zdaniem, intencjonalne zachowanie, czy wynika z braku wiedzy właśnie?

Myślę, że to wynika przede wszystkim z niewiedzy, niepoznania przyczyny, dla jakiej chcemy mieć psa czy kota. Bo po co mamy mieć psa lub kota? Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani ma psa?

Córka chciała mieć psa, dzisiaj jest osobą dorosłą, wywiodła się z domu, a pies został z rodzicami.

I to był jedyny powód?

Nie, chciałam mieć psiaka, dać mu dom i trochę radości.

I wydaje mi się, że jestem całkiem dobrą właścicielką.

Nie wątpię w to. Trzeba wiedzieć, jaki jest powód, dla jakiego potrzebujemy psa. Tak swoją drogą, mam, niestety, podobne zdanie na temat dzieci. Uważam, że bardzo dużo ludzi, którzy mają dzieci, nie powinno ich mieć. Jedynym powodem, dla jakiego mamy potrzebować psa, jest chęć uszcześliwienia kogoś. Inne powody nie są ważne. Liczy się wyłącznie chęć uszcześliwienia jakiejś istoty.

Czyli tego psa.

Czyli tego psa, bo to jest ktoś. To jest pies! Jeżeli czujemy chęć uszcześliwienia kogoś i umiemy w pełni zaakceptować odrębność gatunkową, nie wymagać od tego psa, żeby nagle stał się człowiekiem i szanował naszego Ludwika XVI, czyli biurko stojące w roku pokoju, czy nasz dywan perski, to jest okej. Natomiast jeżeli bierzemy psa, bo sąsiad ma, bo w filmie biegał i taki mądry był, bo ma ładny kolor, bo ma śmieszny mordkę, to w ogóle nie powinniśmy brać do siebie zwierzątko. Jeżeli ktoś ma dzieci, bo wymyślił sobie, że jego pociecha zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych, to lepiej niech tego dziecka nie ma w ogóle.

Myślę, że bardzo wiele osób bierze psa, bo chce się kimś zaopiekować, chce chodzić na spacer.

Czyli po prostu kogoś uszcześliwić, chce się zaopiekować, chce dać szczęście komuś i cieszyć się tym. Największym szczęściem człowieka jest móc uszcześliwić kogoś innego i poczuć to po prostu.

Pani zdaniem, większość osób bierze zwierzęta myśląc wyłącznie o sobie?

Tak. Jestem o tym przekonana.

To taka średnio święteczna rozmowa, bo wychodzi na to, że ludzie są bardzo źli.

Bo jesteśmy bardzo źli. Mam jak najgorsze zdanie o ludzkości. Jak najgorsze! Im jestem starsza, tym gorsze.

Zwierzęta są od nas dużo lepsze.

Bezwzględnie. Są przede wszystkim dużo bardziej prostołinijne. Uważam, że sztańdarem ludzkości, całej ludzkości, bez względu na szerokość geograficzną, jest hipokryzja, wspominałam już o tym. Jesteśmy do bólu hipokrytami i uczymy tego nasze dzieci.

A czym się nasza hipokryzja objawia?

A tym, że świnki się cieszą, jak synek je parówkę.

Ale to, co pani proponuje, jest w sumie ciężkie do zrealizowania, bo jak sprawić, żeby psy trafiały tylko do tych, którzy rzeczywiście chcą tego psa posiadać, opiekować się nim? Robić im testy?

Oczywiście, w bardzo wielu krajach już tak jest i nie ma bezdomności. Na psa trzeba zasłużyć. To nie jest byle jaka rzecz, którą sobie można wziąć, a potem oddać, bo przestała nam się podobać.

Czyli co? Testy? Co jeszcze?

Pierwsza rzecz, mówiłam już o tym, jeśli psów i kotów będzie mało, to łatwo będzie można wyselekcjonować ludzi, którzy naprawdę potrzebują psa i których pies potrzebuje, bo musimy na tę sytuację patrzeć ze strony czworonoga. W Holandii trzeba przejść specjalny kurs i test, jeżeli się chce być opiekunem psa. Tam nie jest się właścicielem, tylko opiekunem psia i trzeba nauczyć się tego, jak być dobrym opiekunem. Tak jest bodaj w niektórych landach Niemiec, w Holandii na pewno i nie ma tam bezdomnych zwierząt.

Koleżanka chciała adoptować doga niemieckiego z pewnej fundacji. Zanim do tego doszło, przyjechała do niej pani z tej fundacji, wypytała ją, obejrzała mieszkanie, a raczej dom. Zobaczyła, ile ma miejsca - to nie było tak, że ona chce doga i go bierze, bardzo dobrze ją sprawdzono. Więc w Polsce też pewne rzeczy się zmieniają.

Ale to, że pani koleżankę sprawdzono, do niczego jej nie obliguje. To bardzo dobrze, że tak robią w schroniskach, nie wszędzie oczywiście. Tylko sam fakt, że ta pani chciała wziąć doga niemieckiego, byłoby dla mnie podejrzane.

A dlaczego?

A dlaczego nie kundelka?

Bo chciała doga.

Ano właśnie! Rasowe psy są rozchwytywane, kolejki się po nie ustawiają. A te budy wszystkie mrą w schroniskach w strasznych warunkach i z rozdartym sercem.

Uważa pani, że jeżeli ktoś chce mieć psa z rodowodem, psa rasowego, to źle o nim świadczy?

Tak, źle o nim świadczy, dlatego że to czysty przejaw rasizmu. Świadczyłoby dobrze, gdyby nie było innych psów niż rasowe. Nie mam pretensji do rasowych psów. To nie ich wina, że są rasowe. Natomiast w momencie, w którym mamy miliony zwierząt, które nie są rasowe i których nikt nie chce, które cierpią tak samo, jak każdy pies, bo w środku to jest ten sam pies - to jest nie w porządku. Czy on jest ta-



Dorota Sumińska: Na psa trzeba zasłużyć. To nie jest byle jaka rzecz, którą sobie można wziąć, a potem oddać, bo przestała nam się podobać

kiego, czy innego koloru, czy ma taką, czy inną twarz - to jest ten sam pies. W ogóle nie powinno nikomu przychodzić do głowy kupowanie czy branie rasowców, bo na rasowce zawsze jest popyt. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby na świecie były same rasowe psy i nikt nie cierpiał. Chodzi o to, że najpierw musimy uporządkować to, co mamy, a sytuacja zwierząt, które nazywamy swoimi najlepszymi przyjaciółmi, jest tragiczna. Tragiczna! Kiedy w schronisku pojawia się rasowy pies, telefon dzwoni bez przerwy, urywa się. A tam jest mnóstwo innych cudownych psów, które nie są rasowe, są za to stare albo chore. Dlatego mam same stare i chore zwierzęta. Całe życie mam tabun psów okaleczonych przez ludzi, których nikt nie chciał. Właśnie z tego powodu, że wiem, iż nikt ich nie weźmie. Więc ja je biorę.

W schroniskach rzeczywiście cały czas przybywa zwierząt?

Tak, jest ich coraz więcej. Schroniska rosną jak grzyby po deszczu. Proszę pani, na schronisku można zarobić ogromne pieniądze.

To znaczy?

To znaczy - można zarobić. Nie pamiętam, w którym roku jedno z większych polskich schronisk miało rocznego przychodu chyba kilkanaście milionów złotych. Wystarczy założyć schronisko, podpisać umowy z wieloma gminami, umówić się na dniówki, jakie gmina płaci na psa złapanego na terenie. Te dniówki oczywiście są dość spore, bo to pięćdziesiąt do stu złotych dziennie. Jak pani będzie miała tysiąc psów w schronisku, to proszę sobie obliczyć, ile pani będzie zarabiać.

Te schroniska powstają z tego powodu, że tak jak pani po-

wiedziała, coraz więcej psów do nich trafia, tak?

I z tego powodu, że można na tym zarobić, bo każdy może założyć schronisko. Pani też. Ja też. Każdy. Trzeba mieć tylko kawałek ziemi, ale nie trzeba mieć żadnych uprawnień. A poza tym byłoby najlepiej, żeby schronisk nie było.

Więc liczba psów i kotów cały czas w Polsce rośnie?

Cały czas rośnie, bo obok tego idzie produkcja psów rasowych. Ludzie kupują bardzo dużo zwierząt.

I nie ma nad tym żadnej kontroli?

Żadnej kontroli. To się po prostu dzieje.

Czemu nikt nie próbuje czegoś z tym zrobić?

Cały czas o tym myślimy, od dwudziestu lat. Fundacja Karuna stworzyła program, który nazywa się „Kastrujemy

bezdolność”. Niestety, nie ma woli politycznej, żeby taką kastrację przeprowadzać obowiązkowo. Dlaczego? Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt - im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy po ubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała rzesza instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze.

To wracając do początku. Jak pani myśli, co by nam te zwierzęta powiedziały oprócz tego, że jesteśmy źli?

Powiedziałyby nam, że jesteśmy potworami, że tak potwornego gatunku jeszcze nie widziały.

I mimo wszystko nas kochają, czy nie?

Oczywiście, że kochają. One są jak bite dziecko, jak dziecko z patologicznej rodziny, które kocha swoich rodziców mimo wszystko. One nie mają wyboru. Ich nikt o nic nie pyta. Nie mamy świadomości, że nawet będąc najlepszym dla swojego psa, jesteśmy tylko właścicielem niewolnika. Decydujemy o wszystkim w życiu tego zwierzęcia. On jest absolutnym niewolnikiem. Decydujemy często nawet o godzinie jego śmierci. O tym, co je, kiedy wychodzi, gdzie chodzi, co robi. Więc skoro już doprowadziliśmy do tego, że mamy takich niewolników, którym deklarujemy swoje uczucia, to niech to niewolnictwo będzie lżejsze. A najgorszy rodzaj niewolnictwa jest za kratkami schronisk.

Z drugiej strony ciężko to zmienić.

Nie. To bardzo łatwo zmienić. Wystarczyłoby kastrować zwierzęta, poddawać kastracji zwierzęta nieprzeznaczone do reprodukcji, czyli nie te, które mają papiery hodowlane.

Ale mówię o tym, że zawsze było tak, że z psem wychodzi się na spacer, nie wszyscy mają domy z ogromnym podwórkiem. Mnie to pies dyktuje czas spacerów, bo jak chce wyjść na zewnątrz, to po prostu staje pod drzwiami. Ale wychodzi pani wtedy, kiedy pani może.

Czasami o drugiej w nocy.

Oczywiście zdarzają się takie sytuacje. Ale dzień macie zaplanowany według pani grafiku, nie psa. Pani karmi psa, czym chce. Tak, ma pani rację, to się już stało. Udomowiliśmy już zwierzęta. Tego się

nie zmieni. To są nasi niewolnicy. Ale niechże ta niewola będzie w miarę radosna.

To co zrobić, żeby była radośniejsza?

Przede wszystkim powód, dla którego bierzemy psa, niech będzie taki, o jakim wspominałam na początku: chcemy się nim zaopiekować, uszczęśliwić go. Dajmy tym zwierzętom minimum wolności. Minimum wolności polegające na tym, że jeżeli mamy psa i chodzimy z nim na spacer, to idźmy w takie miejsce, gdzie możemy go spuścić ze smyczy, gdzie może pozawierać znajomości, gdzie może mieć kumpli czy kumpelki, gdzie może biegać sam tam, gdzie chce. Naprawdę nie trzeba wiele. Tylko pozwólmy im być wśród innych zwierząt, to są tak samo społeczne stworzenia jak ludzie, one bardzo potrzebują interakcji w obrębie swojego gatunku. Ludzie to bardzo często uniemożliwiają swoim zwierzętom.

Co jeszcze możemy zrobić dla swoich psiaków?

Przede wszystkim dobrze je żywić. Zdrowo je żywić. Dawać im naturalne jedzenie. Nie dawać gotowców. Pozwolić im żyć zgodnie z ich potrzebą gatunkową, czyli to, co powiedziałam wcześniej: mieć znajomych, mieć systematyczne spotkania z innymi psiakami. Okazujmy im pełne zrozumienie w chwilach słabości. Nigdy nie gniewajmy się za to, że pies czy kot zwymiotuje, zrobi kupę czy siusiu w domu. Za to nie wolno się gniewać. Bądźmy uważni, zastanówmy się, czy nasze plany są zgodne z tym, na co pies może sobie pozwolić? Jeżeli to starszy pies, szanujmy jego starość. Jeżeli to szczeniak, szanujmy jego potrzebę ruchu. Jest naprawdę mnóstwo rzeczy, na które powinniśmy bardziej zwracać uwagę.

Mamy traktować psa jak drugiego człowieka?

Uważam, że nawet lepiej, traktujemy psa tak jak dziecko trzy-, czteroletnie. Bo to nie jest partner w takiej formie jak drugi człowiek. To jest kompletnie zależna, słabsza od nas istota. Nie mówię o fizycznej sile, bo czasem pies jest silniejszy fizycznie od swojego opiekuna, ale słabszy w ogóle.

Myślę, że jednak psiaki bywają z nami szczęśliwe, jak pani myśli?

Na pewno są takie domy, w których są szczęśliwe. Wie pani, kiedyś rozmawiałam z nieżyjącą już mamą. Siedziałyśmy sobie i mama nagle mówi: „Powiedz mi, jakim chciałabyś być zwierzęciem?” Coś tam powiedziałam. „A ty, mam?” - zapytałam. „Twoim psem” - odpowiedziała.

– Imperialna interpretacja historii jest szczególnie lubiana przez Kreml, bo wpisuje się w jego wizję świata. Według tej optyki, Rosjanie mieli imperium, Polacy mieli imperium, ale Rosjanie okazali się lepsi w imperia niż Polacy. Ale to ich interpretacja, myląca. Polityka prowadzona przez Polskę i Litwę w ramach wspólnej unii miała zupełnie inny charakter – mówi prof. Robert Frost, historyk University of Aberdeen specjalizujący się w dziejach unii polsko-litewskiej

Agaton Kosiński

PROF. FROST: PAMIĘĆ O DAWNEJ RZECZPOSPOLITEJ JEST CIĄGŁE ŻYWA. TAKŻE NA LITWIE CZY UKRAINIE

Dlaczego Pan, historyk ze Szkocji, zajął się Rzeczpospolitą Obojga Narodów?

Najkrócej rzecz ujmując: bo mnie o to poproszono. Oxford University Press wydaje serię książek o wczesnonowożytnej historii Europy i zaprosił mnie do napisania historii Polski pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Ostatecznie powstały trzy tomy. Ale od początku mówiłem, że nie chcę po prostu pisać historii Polski.

Co Panu nie pasowało?

Dziś zbyt często historia jest pisana z perspektywy narodowej. Odkąd w czasie Rewolucji Francuskiej przyjęto, że suwerenem jest lud, a nie król, to właśnie przez pryzmat narodu patrzymy na historię, w ten sposób definiujemy polityczną nowoczesność. A takie ponadnarodowe twory, jak Święte Cesarstwo Rzymskie, unia polsko-litewska, monarchia austro-węgierska, po prostu zniknęły. Tej perspektywy się dziś nie dostrzega. Sam jestem Szkotem, więc dla mnie akurat takie konstrukcje to codzienna rzeczywistość, w końcu mój naród funkcjonuje w ramach Zjednoczonego Królestwa. Przynależność do Wielkiej Brytanii to żywa kwestia polityczna. Sam się w nią angażuję. Pierwszy raz głosowałem w szkockim referendum decentralizacyjnym w 1979 r. Wtedy ten projekt przepadł, ale w 1997 r. referendum było wygrane i w ten sposób powstał szkocki parlament.



Bitwa pod Orszą – obraz z XVI w. W tej bitwie z 1514 r. Polska odniosła jedno z największych zwycięstw nad Rosją

Jest Pan zwolennikiem teorii mówiącej, że Szkoci to Polacy północy?

Owszem, istnieją pewne podobieństwa między naszymi narodami, choć faktem jest, że unia polsko-litewska i unia angielsko-szkocka były zupełnie różne pod względem formy, charakteru i wizji tego, co chciały osiągnąć. Pisałem o tym w swojej wcześniejszej książce. Natomiast teraz bar-

dziej chciałem zwrócić uwagę na to, że dziś dzieje pisze się przez pryzmat historii narodowych. Historia unii politycznych znalazła się na marginesie. Polscy historycy opisywali historię unii jako część historii waszego kraju, jakby była ona pewnego rodzaju polskim przedsięwzięciem kolonialnym czy formą realizacji idei imperium. Tymczasem było inaczej.

Akurat polscy historycy w większości wskazują, że unia polsko-litewska nie miała nic wspólnego z imperializmem, a tym bardziej z kolonializmem. To było porozumienie dwóch państw. Imperialna interpretacja jest szczególnie lubiana przez Kreml, bo wpisuje się w jego wizję świata. Według tej optyki, Rosjanie mieli imperium, Polacy mieli imperium,

ale Rosjanie okazali się lepsi w imperia niż Polacy. Ale to ich interpretacja, moim zdaniem myląca. Polityka prowadzona przez Polskę i Litwę w ramach ich wspólnej unii miała zupełnie inny charakter.

Oskar Halecki w swojej pracy „Unia jagiellońska i misja dziejowa Polski” wskazywał na jej przede wszystkim poli-

tyczny charakter. Unia miała przede wszystkim sprawić, by Polska i Litwa nie toczyły między sobą sporów o ziemie ruskie.

Ale też Oskar Halecki nazywał to cywilizacyjną misją Polski, w jego tekstach można dostrzec pewnego rodzaju poczucie polskiej wyższości. Piszący na długo przed nim Jan Długosz wyraźnie pogardzał Jagiellonami i Litwinami, uważał ich za niewiele lepszych od barbarzyńców. Warto też poczytać, co o unii pisali litewscy lub ukraińscy kronikarze i historycy. Z ich punktu widzenia była ona postrzegana w zasadniczo negatywnym świetle. Ukraińcy i Litwini uważali ją za coś w rodzaju polskiego spisku, za projekt mający na celu stworzenie polskiego imperium, który zakłócił i zahamował rozwój ich narodów. Zgodnie z tą logiką właśnie z tego powodu dopiero w XX wieku powstało państwo ukraińskie, litewskie oraz białoruskie.

Trudno zrozumieć przesłanki takiego myślenia. Patrząc na politykę Moskwy – teraz, ale również przez poprzednie stulecia – nie da się uznać jej za wspierającą dążenia niepodległościowe jakiegokolwiek narodu.

W czasie studiów duży wpływ wywarły na mnie Annales, francuska szkoła analizowania historii. Jej twórcy wychodzili z założenia, że do zrozumienia przeszłości konieczne jest zrozumienie sposobu myślenia osób żyją-

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

cych w danej epoce. Klasycznym przykładem tej szkoła jest książka Luciena Febvre'a, wielkiego historyka z kręgu annalistów, „Le Problème de l'Incroyance au XVIe siècle” (Problem niewiary w XVI w.), poświęcona Francois Rabelais'emu, autorowi skandalicznej powieści „Gargantua i Pantagruel”.

Dziś klasyka - musiałem ją czytać w liceum w ramach obowiązkowych lektur.

Rabelais był chwalony za tę książkę przede wszystkim za to, że wyprzedziła ona swe czasy - bo już w XVI w. pisał jako ateista. Febvre zanegował ten sposób myślenia, w swojej pracy dowodząc, że w XVI w. było absolutnie niemożliwe tworzenie czegokolwiek z perspektywy intelektualnego ateisty, ponieważ wtedy nikt nie umiał wyjaśnić świata bez Boga. Właśnie taki sposób analizowania rzeczywistości wydaje mi się najciekawszy. Pisząc o unii polsko-litewskiej, starałem się brać poprawkę na ówczesny sposób myślenia elit politycznych.

Jaki kontekst tamtejszej rzeczywistości trzeba brać pod uwagę w pierwszej kolejności?

Sytuację, w jakiej znajdowali się Jagiellonowie. Ta pogańska początkowo dynastia znalazła się pomiędzy światem katolickim a prawosławnym i musiała lawirować pomiędzy nimi. Dodatkowo pod koniec XIV wieku znalazła się pod silną presją krzyżacką i sytuacja stała się nie do utrzymania. Trzeba było podjąć decyzję o kierunku. Punktem zwrotnym była bitwa pod Sinymi Wodami w 1362 r., kiedy wojska litewskie pokonały Złotą Orde.

To była jedna z największych bitew tamtej epoki, brała w niej udział podobna liczba wojsk co w bitwie pod Grunwaldem.

Warto pamiętać, że od tego czasu Litwini kontrolowali dużą część współczesnej Białorusi i Ukrainy. Przez wiele lat książęta Rusi Kijowskiej akceptowali zwierzchnictwo mongolskie, później zaczęli litewskie. Ale to miało swoje konsekwencje. Znaczną część mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego stanowili wyznawcy prawosławia. Jako że litewski nie był językiem pisanim, to szybko ruski stał się językiem urzędowym Litwy. Rusinizacja postępowała coraz szybciej. Książęta z litewskiej dynastii Giedyminowców brali za żony prawosławne księżniczki i sami przechodzili na tę religię. Sytuacja stawała się coraz bardziej nie do utrzymania. Jogaila (tak na Litwie nazywał się Jagiełło) i Witold zdawali sobie sprawę, że jedynym spo-

ŚLUB JAGIEŁŁY Z JADWIGĄ SPRAWIŁ, ŻE DZIŚ LITWA ISTNIEJE JAKO ODREBNE PAŃSTWO, A LITWINI TO SAMODZIELNY NARÓD. BEZ TEGO BY ZNIKLI WŚRÓD RUSINÓW

sobem na zachowanie kultury litewskiej jest wybór unii z Polską i przyjęcie katolicyzmu. Zdecydowali, że Władysław weźmie ślub z Jadwigą. To była bardzo sprytna decyzja. Ten wybór sprawił, że dziś Litwa istnieje jako odrębne państwo, a Litwini to samodzielny naród.

Twierdzi Pan, że inaczej Litwini rozplynęliby się w morzu prawosławnych Rusinów?

Tak podejrzewam. Gdyby Jogaila i Witold przeszli na prawosławie, a Kościół prawosławny rozszerzył swoją działalność na Litwę, to de facto przejąłby tam władzę. Przeciwnie liturgia byłaby sprawowana po rusku, chłopcy modlili się w tym języku. Natomiast w katolicyzmie językiem liturgicznym była łacina. Później pojawił się protestantyzm - i to protestanci sprawili, że litewski stał się językiem pisanim. Uniwersytet w Królewcu, znajdujący się wtedy w Księstwie Pruskim, jako pierwszy zaczął publikować literaturę religijną w języku litewskim. To go uratowało. I właśnie dlatego Litwa istnieje do dziś.

Łotwa i Estonia również istnieją - choć ich historia wyglądała zupełnie inaczej.

Być może. Ale spójrzmy na to, co stało się na terenach ugrofińskich. Na północy Europy samodzielność zachowały tylko Finlandia i Estonia, pozostałe ludy tej uralskiej rodziny językowej - m.in. Karelia - zostały wchłonięte przez Imperium Rosyjskie. Litwa tego losu uniknęła, co najlepiej potwierdza słuszność decyzji Jagiełły. Zresztą zyskała też na tym nie tylko jego dynastia, ale ogólnie litewskie elity. Do czasu unii z Polską nie miały one właściwie swoich praw. Na południu kraju bojarzy mieli prawo zwyczajowe Rusi Kijowskiej, z kolei na północy obowiązywało litewskie prawo zwyczajowe - niedające bojarom litewskim praktycznie żadnych praw. Dopiero kiedy przysięgli oni wierność Jagielle po jego wyborze na króla Polski otrzymali obiecane im prawa i przywileje, podobne do tych, które mieli wtedy Polacy. Zostało to uregulowane w zawartej w 1413 r. unii horodelskiej.

Zawarte wtedy umowy ostatecznie uporządkowały rela-

cje między Polską i Litwą, m.in. nadały litewskim bojarom takie same prawa, jakie miała polska szlachta.

Ale też było wyraźnie zaznaczone, że te prawa mogli uzyskać tylko katolicy bojarzy, Rusini nawet nie zostali zaproszeni do Horodła. Zresztą mieli oni tego świadomość i mocno przeciwko temu protestowali.

Na początku naszej rozmowy zaprotestował Pan przeciwko stawianiu znaku równości między dziejami Polski i historią państwa stworzonego przez oba narody. Jakie są najważniejsze różnice?

Unię Polski i Litwy często w pracach naukowych porównuje się do związku Anglii i Szkocji. W obu przypadkach była to unia personalna i miała charakter wyłącznie dynastyczny. Po tym jak bezpotomnie zmarła Elżbieta I, królem Anglii został jej najbliższy krewny, który jako Jakub VI był wtedy władcą Szkocji. Ale to właściwie nic nie zmieniło w sytuacji tych krajów. Oba państwa zachowały swoją niezależność, były połączone jedynie osobą władcy, który w Londynie nazywał się Jakubem I. W ówczesnej Europie ten sposób porządkowania kwestii sukcesji na tronie uważano za typowy.

Dania tworzyła unie personalne z Norwegią czy z Anglią już od X w. Unia kalmarska z 1397 r. połączyła w ten sposób Danię, Norwegię i Szwecję.

Na przykład. Unia personalna powstała też między Polską a Węgrami, gdy Ludwik Węgierski w 1370 r. zasiadł na polskim tronie po śmierci Kazimierza Wielkiego. Podobnie stało się w 1440 r., kiedy królem Węgier został polski władca Władysław III Warneńczyk. Tych państw nie łączyły wtedy ze sobą właściwie nic poza osobą władcy. To był całkowicie standardowy sposób postępowania na szczytach władzy w późnośredniowiecznej Europie. Zresztą takie unie zwykle bardzo szybko się rozpadają.

Akurat w przypadku unii Polski i Litwy stało się inaczej - unia personalna obowiązywała się i doprowadziła do utworzenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów w 1569 r. Unia polsko-litewska od samego początku bardzo się róż-

niła od innych tego typu konstrukcji pojawiających się w Europie. Przede wszystkim, że już na samym początku została ona uregulowana traktatem. Porozumienie zawarte w Krewie z 1385 r. było de facto umową przedmażeńską, ale o daleko idących konsekwencjach politycznych, m.in. nakładającą na Jogailę obowiązek przejścia na katolicyzm - bez tego nie mógłby on poślubić Jadwigi.

Jakby Pan opisał naturę unii Polski i Litwy?

Oba państwa od samego początku różniły się w jej interpretacji, miały inne pojęcie tej unii. Kluczowe okazało się pojawiające w traktacie z Krewy łacińskie słowo „applicare”. Polacy od początku rozumieli je jako „włączenie” ziem litewskich do polskich. Proszę zwrócić uwagę, kto podpisał się pod traktatem krewskim. Ze strony polskiej byli to Elżbieta Bośniaczka, matka Jadwigi, ale także Communitas Regni Poloniae, czyli Wspólnota Królestwa Polskiego, szeroka reprezentacja społeczeństwa polskiego. Z drugiej strony podpis złożył jedynie książę litewski Jagiełło. Można więc ten dokument odebrać jako akt zawarty między polskim narodem politycznym a dynastią. To właśnie stąd brało się podejście polskich możnowładców. Ale Litwini z taką interpretacją się nie zgodzili, twierdzili, że to można mówić co najwyżej o unii, termin „applicare” tłumaczyli jako „połączenie”, a nie „inkorporacja”. Tym bardziej, że Jagiellonowie tym traktatem nie zyskiwali w Polsce praw dynastycznych, Władysław po śmierci Jadwigi tracił prawa do polskiego tronu.

Po jej śmierci w 1399 r. Jagiełło utrzymał się na tronie tylko dlatego, że zdecydował się przyznać szlachcie przywileje - i zgodził się na ślub z Anną Cylejską, wnuczką piastowskiego króla Kazimierza Wielkiego.

Litwini nie ustępowali. Witold próbował stworzyć odpowiednik polskiej wspólnoty, opierając się na czołowych litewskich szlachcicach. W zawartej w Horodle unii znalazła się - dziś zupełnie nieczytelna - formuła adopcji herbowej. Polscy szlachcice „adoptowali” 47 litewskich rodzin bojarzkich, to znaczy przyznawali im prawo do korzystania z ich herbów, niejako podzieliли się z nimi swoimi godłami rodowymi i pozycją, jaką one ze sobą niosły. Można powiedzieć, że była to forma inkorporacji litewskich bojarów przez polską szlachtę, ale Witold postrzegł to inaczej. On traktował tę umowę z Horodła jako unię braci.

Tyle że - jak to w rodzinie - często między Polską i Litwą dochodziło do sporów.

Ale też poza nią one nie wychodziły. W 1429 r. podczas zjazdu władców w Łucku na Wołyniu przyszły cesarz rzymski Zygmunt Luksemburski złośliwie zaproponował Witoldowi, że go ukoronuje. Ta propozycja wprawiła Polaków w zakłopotanie, groziła rozbiem unii polsko-litewskiej, gdyż trudno byłoby mieć królestwo w królestwie. Ale Witold zmarł w 1430 r., co wszelkie tego typu plany czyniło nieaktualnymi. Zresztą wcześniej mocno podkreślał, że status Polski i Litwy w unii jest równy, partnerski, nawet jeśli tylko w Krakowie urządzuje król. Dziś litewscy historycy zawsze wychwalają Witolda jako tego, który bronił niepodległości ich kraju. A dyskusja o charakterze tej unii trwała aż do 1569 r. i Litwini mocno akcentowali swoją niezależność. Nawet gdy jedna osoba była jednocześnie królem Polski i Wielkim Księciem Litewskim, to za każdym razem wybierano ją niezależnie od siebie, to nie była jedna ceremonia. Na przykład Kazimierza Jagiellończyka koronowano na wielkiego księcia w 1440 r., a na króla siedem lat później.

Wyraźnie Jagiellonowie traktowali funkcję wielkiego księcia jako formę przygotowania do późniejszej koronacji w Krakowie.

Jednocześnie Litwini bardzo mocno pilnowali swoich praw uzgodnionych w ramach unii horodelskiej. Władysław III Warneńczyk wysłał swojego młodszego brata Kazimierza do Wilna, żeby tam pełnił de facto rolę gubernatora. Ale tego stanu rzeczy nie zaakceptowali Litwini, to oni zażądali, by został on oficjalnie wybrany na wielkiego księcia. Początkowo twierdzili, że dokonają tego wyboru za zgodą Polaków, ale ci na to machnęli ręką - więc Litwini sami zdecydowali, że ich wielkim księciem zostanie Kazimierz. A gdy on zmarł, wybrali jego następcę - za każdym razem powołując się na ustalenia z Horodła. Tak samo było po podpisaniu unii lubelskiej. Ton tego traktatu był jednoznaczny: on oznaczał połączenie się równych sobie narodów. Polacy próbowali to ograniczyć, uważali, że nie ma sensu dublować urzędów, nazywali Litwę „nową Polską”. Ale Litwini na to się nie godzili. I dopięli swego. Unia lubelska nie utworzyła nowego państwa, tylko uregulowała stosunki między dwoma istniejącymi państwami. W ten sposób narodziła się Rzeczypospolita - republika w arystotelesowskim

rozumieniu tego słowa, wspólnota obywateli. I to jest ta wyjątkowa koncepcja stojąca za tą unią. To król Zygmunt II August sprawił, że ona weszła w życie. A gdy się czyta jego testament, jest tam wyraźnie napisane, że on chce, by ta unia przetrwała.

Dziś spuściznę tej republiki można dostrzec u sześciu narodów: Polski, Litwy, Ukrainy, Białorusi, Łotwy, a nawet do pewnego stopnia Izraela. Jak żywa jest dziś pamięć o tamtej Rzeczypospolitej?

Ona jest cały czas bardzo żywa. To jeden z głównych powodów, dla którego Ukraińcy są dziś Ukraińcami, a nie Rosjanami. Często słychać zarzut, że w czasach dawnej Rzeczypospolitej ukraińskie elity się spolonizowały, że Kościół katolicki, samorządy czy stworzony wtedy system sądów lokalnych doprowadziły do wypchnięcia tradycyjnego języka ruskiego. Powstanie Chmielnickiego było też do pewnego stopnia buntem przeciwko temu procesowi. A później ziemie ukraińskie znalazły się pod kontrolą Rosji - kraju rządzonego despotycznie, bez poszanowania dla lokalnych struktur. Ukraińska tradycja była zupełnie inna, ukształtowana w duchu Rzeczypospolitej. Dlatego dziś Ukraińcy myślą o tym, by mieć własne suwerenne państwo.

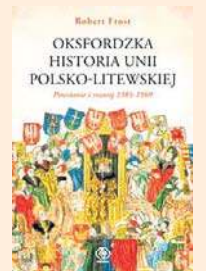
CV



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Prof. Robert Frost

Historyk Uniwersytetu z Aberdeen, specjalizujący się w historii Europy Środkowo-Wschodniej. Doktorat obronił u prof. Normana Daviesa. Otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku. Autor dwutomowej „Oksfordzkiej historii unii polsko-litewskiej”, której pierwszy tom w Polsce w 2025 r. wydało wydawnictwo Rebis



JOANNA PRZETAKIEWICZ: SZCZĘŚCIE NIE ZNAJDZIE NAS SAMO. TO MY MUSIMY O NIE ZADBAĆ

– Cierpienie nie uszlachetnia. W akcji „Nie!Wypaleni” i w Erze Nowych Kobiet uczymy, że Polacy i Polki mają prawo odpoczywać, zarabiać więcej, cieszyć się swoimi sukcesami bez wstydu i bez przeproszania. Bo życie ma mieć sens i cel – mówi Joanna Przetakiewicz

Anita Czupryn

Obserwowałam kobiety, które czekały na spotkanie z Panią i widziałam u nich niesamowitą ekscytację z tego powodu, że zaraz Panią zobaczą. Chciałam więc Panią zapytać: co Pani im robi?

(Śmiech). Dobre pytanie! Od momentu, kiedy powstała Era Nowych Kobiet, widzę, że między nami wydarzyło się coś ważnego. Nie chcę brzmieć górnolotnie ani ezoterycznie, bo to byłoby śmieszne, ale naprawdę zbudowałyśmy zaufanie i wzajemną sympatię. A przede wszystkim wiarę, bo wiele z nas przeszło bardzo dużo, i że możemy sobie ufać i mieć do siebie szacunek. Już to, co wydarzyło się na pierwszym spotkaniu, było absolutnie niesamowite. Przyjechało wtedy trzydzieści kobiet. Wybrałam je spośród tych, które pisały komentarze na Instagramie.

To było siedem lat temu.

Niemal równo, bo w listopadzie 2018 roku. Spotkałyśmy się w apartamencie hotelowym, bo tak było najwygodniej. Pamiętam, że wtedy przeczytałam badania WHO, z których wynikało, że my, Polki, jesteśmy na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o uznanie własnej atrakcyjności, a co za tym idzie, poczucie własnej wartości. Na 42. miejscu! Nie mogłam w to uwierzyć. To mną wstrząsnęło. A zatem na pierwsze spotkanie Ery Nowych Kobiet przyjechało trzydzieści dziewczyn. Dziś jest nas prawie milion. Mamy 79 oddziałów, 117 liderki i, szczerze mówiąc, ta energia jest cały czas taka sama. Wiemy więcej, rozwijamy się szybciej, uczymy się od siebie, nieprawdopodobnie rośniemy i budujemy wspólnotę. Przyznaję, że już wtedy poczułam, że to będzie coś wielkiego.

Kiedy niedawno, rozpoczynając akcję „Nie!Wypaleni”, patrzyła Pani ze sceny na tłum kobiet, kogo Pani widziała? Pani fanki? Wspólnotę? Ruch społeczny?

To w ogóle nie ulega wątpliwości, to nie jest tłum fanek, które pytają mnie, jakiego szamponu używam. To jest ruch społeczny i wspólnota. Bo czym innym jest jednorazowa akcja dotycząca konkretnego kryzysu, jak Czarny Protest, a czym innym ruch, który się rozwija, przetradza i buduje ogromną, trwałą wspólnotę. Era Nowych Kobiet to takie bardzo nowoczesne plemie. Najciekawsza jest jego różnorodność. Po pierwsze – pokoleniowa. Bardzo często nasze dziewczyny przyprowadzają swoje nastoletnie córki, ale też swoje mamy. Najstarsza uczestniczka naszego spotkania miała 89 lat; to była mama jednej z naszych liderki. Średnia wieku to trzydzieści kilka lat, ale fakt, że są tam babci, mamy, córki i wnuczki, sprawia, że ten ruch rozciąga się na cztery generacje. I to jest cudowne, bo jest demokratyczne. Po drugie – różnorodność społeczna i zawodowa. Nie skupiamy wokół siebie tylko kobiet z zarządów korporacji. To są przeróżne kobiety. Te, które mają swoje biznesy, ale też te, które nie pracują zawodowo i są mamami w domu. Są kobiety pracujące w korporacjach, są manikiurzystki, pielęgniarki, prawniczki, lekarki, prezeski firm, właścicielki małych i bardzo dużych przedsiębiorstw. Każda robi coś zupełnie innego. Nie reprezentujemy jednej klasy, jednego typu kobiety biznesu. My naprawdę jesteśmy różnorodne.

Kampania „Nie!Wypaleni” pokazała wstrząsające dane: dwie na trzy osoby pracujące w Polsce mają objawy wypalenia zawodowego. Pani również przeżyła wypalenie. Może Pani o tym opowiedzieć?

Wszystkie tematy społeczne i kampanie, które podejmuję, wynikają z działalności w Erze Nowych Kobiet. Bez niej nie miałabym takiej świadomości skali problemów. Gdybym patrzyła tylko na własne doświadczenie i kilka historii wokół,

myślałabym: „To dotyczy mnie i paru osób”. A dziś wiem, że to są tematy, które dotyczą większości Polaków. Cofając się wiele lat wstecz do mojego doświadczenia, dopiero teraz zrozumiałam, że to było wypalenie. Że to się tak nazywa. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Dopiero praca z profesorem Piotrem Gałęckim i psychologiem Jackiem Walkiewiczem uświadomiła mi, że to był podświadomy przykład wypalenia. Ponieważ bardzo często praca nie jest jedynym źródłem wypalenia, nie powinniśmy tego zaważać tylko do pracy. W kampanii działamy przez pracowników i pracodawców, bo w tej rzeczywistości mamy największy wpływ na odwrócenie kryzysu samotności i wypalenia. Ale prawda jest taka, że ten stan bierze się z wielu obszarów życia. Tak też było w moim przypadku. Byłam młodą kobietą, miałam już trójkę dzieci, studia, aplikację radcowską i rozwijałam firmę. Na każdym poziomie życia miałam tysiąc spraw. I mimo że towarzyszyły mi wspinały zespół, miałam świetną współpracowniczkę i dobrze działający biznes, przeżyłam dokładnie to, co dziś opisuję się jako wypalenie. Podjeżdżając pod siedzibę firmy czułam, że ogarnia mnie takie poczucie zmęczenia i bezsilności, że robiło mi się słabo. Miałam mdłości. Nie mogłam wjechać na parking swojej firmy, bo dopadało mnie straszne poczucie przeciążenia. Wiedziałam tylko jedno: muszę sobie dać czas, muszę odechnąć. Więc mijałam wjazd na parking,jechałam dalej prosto, skręcałam w aleję Jana Pawła, objeżdżałam Halę Mirowską, skręcałam w prawo,jechałam Marszałkowską i znów wracałam na Grzybowską, gdzie mieściła się jedna z moich klinik. Podjeżdżałam na parking i znowu czułam to samo. Pamiętam, że potrafiłam zrobić kilka takich kółek, zanim zaciśniełam zęby, wjechałam na ten parking i z automatu zaczyna-

łam działać. Ale ten moment wjazdu odwlekałam, czasem o kilkanaście minut, czasem o pół godziny. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem dziś, oszczędziłabym sobie dużo smutku, bezradności i bezsilności. Wtedy tego nie wiedziałam. Odczuwałam przede wszystkim wstyd. Wstyd, że się tak czuję. Bo skoro mam sukces, zarabiam, wszystko idzie dobrze, dzieci są zdrowe, to powinienam być tylko wdzięczna. A ja czułam wstyd i straszliwe skrępowanie, że w ogóle tak się czuję. Nikomu o tym nie powiedziałam. Nawet najbliższej przyjaciółce. A przecież zawsze najtrudniejsze tematy w życiu rozbrajam z pomocą swojego najbliższego plemienia, czyli przyjaciółek. Tym razem mężczyłam się, trwałam i przetrwałam. Prawdą jest, że odebrałam sobie wiele miesięcy leższego życia. Gdybym wiedziała, co wtedy robić, jak to nazwać i gdzie szukać pomocy, byłoby mi o niebo łatwiej.

Na czym dokładnie polega ta kampania?

Akcja „Nie!Wypaleni” opiera się na trzech filarach. Po pierwsze: diagnoza i uświadomienie problemu. Mówimy ludziom: „Nie jesteś z tym sam, nie jesteś sama”. To dotyczy większości pracujących Polek i Polaków. A Polki pracujące w domu mają często jeszcze więcej obowiązków, więc realnie dotyczy to ogromnej części dorosłego społeczeństwa. Po drugie – dajemy konkretną wiedzę i narzędzia. Na stronie niewypaleniowpracy.pl udostępniłyśmy dwa programy przygotowane przez wybitnych ekspertów. Pierwszy, przez zespół profesora Piotra Gałęckiego, krajowego konsultanta w dziedzinie psychiatrii. Drugi, przez psychologa, mentora i mówcę motywacyjnego Jacka Walkiewicza. To nie są żadne ciężkie kursy, tylko wiedza napisana prostym, ludzkim językiem, do ogarnięcia po pracy, bez wielogodzinnego skupienia. Bardzo przy-

stępna, bardzo po polsku i dla każdego. Po trzecie, osadzamy kampanię w realnym świecie pracy. Na naszej stronie każdy, anonimowo, może zgłosić swój wniosek: co zrobić, żeby pracowało nam się lepiej. Czy to pielęgniarka, kasjerka, dyrektor marketingu albo właścicielka małej firmy. Chodzi o proste, praktyczne pomysły z każdej branży, które poprawią komfort pracy i wydajność, ale przy mniejszym koszcie dla zdrowia. Bo problem jest bardzo konkretny: jesteśmy jedynym z narodów, które pracują najdłużej i najciężiej, a mamy jedynie około 70 proc. wydajności Zachodu. Czyli braki nadrabiamy harówką. To prosta droga do wypalenia.

Często słyszę, że jestem z pokolenia „kultury zapie...lu”. Przez lata wręcz się chwaliłiśmy przepracowaniem. Jak zmieniać te przekonania? Że nie musimy zawsze „dawać radę”? Że można, jak pokolenie naszych dzieci, czyli popularne Zetki, o godzinie 17 wyłączyć służbowy telefon? Przyznam, że ja telefony z pracy odbieram o każdej porze.

No właśnie i najwyższy czas, żebyśmy sobie jasno powiedzieli: cierpienie nie uszlachetnia. Oczywiście trudne doświadczenia mogą nas budować, ale jeśli wciąż powtarzamy, że cierpienie uszlachetnia, to tak naprawdę wbijamy sobie do głowy, że odpoczynek, przyjemność i radość są czymś płytkim, głupkowatym i trochę wstydlivym. Kiedy słyszę, że „szczęście samo cię znajdzie”, zastanawiam się, kto wymyślił taką bzdurę. Szczęście nie znajdzie nas samo. To my musimy zadbać o siebie i o swoje pokolenie, żeby odwrócić zjawisko, które jest de facto autoagresją i autoprzemocą. Zamiast mówić: „Muszę odpocząć”, przechwalamy się przepracowaniem: „Nie byłam w kinie od dwóch lat”, „Nie przeczytałam żadnej książki”, „Nie miałam wolnego weekendu od dwóch lat”, „Mam 74 dni zaległego urlopu”, „Najpierw we-sele i remont, przez pięć lat nigdzie nie wyjedziemy”. I tak się programujemy. Utrwalamy w sobie przekonanie, że radość, świętowanie sukcesu, przyjemność są podejrzone. Do tego dochodzi stary, toksyczny komunikat: „Nie chwal się, bo będą zazdrości”. Badania pokazują, że jednym z naszych największych lęków jest lęk przed oceną społeczną. Więc zamiast cieszyć się z sukcesu i doceniać siebie, chowamy go, umniejszamy, przeproszamy za niego. Znamy to wszystkie: ktoś mówi „Świetnie wyglądasz?”, a my od razu: „Daj spokój, koszula z przeceny, bezna-dziejnie dziś wyglądam”. Albo na pytanie „Co słychać?” odpowiadamy automatycznie: „Stara bida”. Żyjemy w energii braku zamiast w energii rozwoju. Tymczasem rozwój to także umiejętność powiedzenia: „To mi nie wyszło, ale się czegoś nauczyłam”. To jest coś, co w Polsce trzeba promować: docenianie siebie, pracy, wysiłku, nawet błędów, z których wyciągamy wnioski. A jednocześnie, jako kraj, jesteśmy dwudziestą gospodarką świata. Od 1989 roku rozwijaliśmy się trzy razy szybciej niż kraj Zachodu.

To też ma swoją cenę.

Oczywiście. Dobięliśmy do mety bardzo zmęczenia. Mamy prawo czuć się wypaleni. I dlatego dziś jednym z największych wyzwań społecznych jest zadbanie o nasz kryzys mentalny. Weszłym roku zrobiliśmy pierwszą część tej akcji i równocześnie zawiązałyśmy koalicję przeciwko samotności. Bo samotność to kolejna pandemia. Pogłębił ją COVID i lockdown, ale swoje zrobiły też praca zdalna, hybrydowa, cyfryzacja relacji. Mamy setki znajomych w mediach społecznościowych, ale często nie mamy kogoś, kto przyjdzie nakarmić nam kota. Nie ma dziś większego wyzwania niż to, że-

ISKRA NADZIEI W ŚNIE KOSMOSU. RAFAŁ OLBIŃSKI O MIŁOŚCI, SZTUCE I POEZJI

Bez czułości i miłości nasze życie jest jak smutne, skrzypiące schody donikąd – mówi malarz, grafik, rzeźbiarz i poeta Rafał Olbiński. Jego zdaniem artystę ocenia się wyłącznie po ostatniej pracy, a obraz powinien przenosić emocje. Jeśli ich nie ma, zostaje tylko bełkot

Amita Czupryn

Możemy oglądać w galerii Tuart Pana rzeźbę Birth of Dancing Star - Narodziny tańczącej gwiazdy. Osobiście widzę ją jako metaforę kogoś, kto odzyskuje swoje życie. Jaki zamysł miał Pan w głowie?

Prawdę mówiąc każdy może się pod tym tytułem podpisać. A szczególnie kobiety, bo rzeźba przedstawia kobietę i ten wewnętrzny renesans, o którym każda kobieta marzy. Przygnieciona nieznośną lekkością bytu, ale skrzydła ma nad głową i one za chwilę mogą ją unieść. Przerwa między skrzydłami a ciałem to chwila zawahania: zrobić to czy nie? Odlecieć czy zostać na ziemi? To też wieczny dylemat: czy stać nas na zmianę, czy wolimy jednak zostać w swoim często wygodnym, ale nudnym życiu.

Czy za tą rzeźbą kryje się jedna konkretna kobieta?

Konkretna kobieta byłaby zawężeniem znaczenia. Operuję raczej metaforą niż konkretnymi aktorami obrazów czy rzeźb. Nawet jeśli w jakiejś postaci pojawia się ktoś konkretny, to nie jest przykładowa pani Zosia, którą da się wskazać palcem. Oczywiście można odnaleźć ślady modelek, które mi pozowały. Ale chodzi o przesłanie bardziej ogólne. Mówię o kobietach jako takich, o kobiecości; o wszystkich kobietach, które były w historii, są teraz i będą w przyszłości.

Kobiety są dla Pana źródłem natchnienia? Jak Pan patrzy na kobiety w swojej sztuce?

Oczywiście, jak każdy mężczyzna mam „kompleks kobiety”. My nie wiemy, co to znaczy urodzić dziecko, jesteśmy zaprogramowani jako myśliwi do gonienia za mamutem. A kobiety, także w mitologii, poja-

wiają się jako strażniczki ogniska, symbole bezpieczeństwa, wygody, ciepła, miłości. Krótko mówiąc, tego wszystkiego, czego nam w tej pogoni za mamutem brakuje. To jest dokładnie to, co Botticelli pokazał na obrazie „Wenus i Mars”: Mars, umęczony walką, leży na łonie Wenus i odpoczywa. Tak się dla mnie przejawia czysta kobiecość.

Zaczął Pan też wykonywać biżuterię. Co Pan czuje, mając świadomość, że teraz „Olbiński” może wisieć nie tylko w galerii, ale dosłownie, na czyjejszy szyi?

Jestem tym wzruszony. Biżuteria w przypadku tej serii to zabawa skalą, od pięciometrowego byka, który stanął w Katowicach, po maleńką rzeźbę, która wisi nam na szyi. Dzieło to samo, tylko skale są różne. Oczywiście nasze odczucia estetyczne wobec rzeźby w przestrzeni publicznej są inne niż wobec pierścionka, ale kiedy patrzymy na pierścionek, też czujemy zadowolenie. To jest ta sama estetyka, to samo wychodzenie naprzeciw potrzebie piękna. Piękno nie jest fenomenem naszego wieku. Nasi prymitywni przodkowie też rzeźbili sobie maczugi, choć nie było im to do niczego potrzebne. A jednak chcieli, żeby ta maczuga była nie tylko funkcjonalna, ale i ładna. Coś takiego zawsze w nas istniało.

Ale jednak biżuteria to także produkt użytkowy, komercyjny. Nie miał Pan tu żadnego oporu jako artysta?

Artyści są jak prostytutki. Przez całe stulecia nie robili żadnej sztuki dla sztuki, jak się to bzdurnie pisze, tylko tworzyli po to, żeby przeżyć. Przecież Van Gogh całe życie marzył,

żeby sprzedać obraz i mu się to nie udało. Chciałby napić się lepszego wina czy pójść do lepszej prostytutki, ale nie miał na to pieniędzy.

Już Pan o tym wspominał, więc nawiąże do rzeźby, która stoi w centrum Katowic: byk jako symbol siły, ale też szukający kompromisu.

To bardzo prosta metafora tego, że porozumienie i zgoda naprawdę budują i dają nam siłę. Historia jest pełna przykładów, że tam, gdzie dochodziło do ugody, pojawiało się potem prosperity, ludzie byli szczęśliwsi. A tam, gdzie jest konflikt, gdzie jest wojna i widzimy to dziś na własne oczy, całe pokolenia zostają zniszczone, dzieci dorastają bez ojców, ziemia jest spustoszona na dziesiątki lat przez ambicje kilku chciwych, niemoralnych liderów. A przecież tak często ugoda jest na wyciągnięcie ręki. Tylko trzeba chcieć, trzeba wyjść sobie naprzeciw. Wydaje mi się, że w czasach, w których żyjemy, przypomnienie, że zgoda i kompromis są ważne, jest wyjątkowo aktualne.

Co dla Pana jest dzisiaj większą sztuką: siła czy kompromis?

Wydaje mi się, że jedno bez drugiego nie istnieje. W kompromisie jest siła. Nie można powiedzieć: wybieram albo siłę, albo kompromis. Czy kompromis jest oznaką słabości? Dla mnie to jest próba wyjścia z zakłętą koła nienawiści i rewanzu, z tego myślenia: oko za oko, ząb za ząb. Chyba Gandhi powiedział, że jeśli wszyscy będą tak postępować, ludzkość zostanie bez oczu i bez zębów.

W Warszawskiej Operze Kameralnej przynosi Pan swój plakatyowy styl na scenę, czy to ba-

śniowo w „Czarodziejskim flecie” czy dramatycznie w „Don Giovannim”. Czym różni się tworzenie plakatu od tworzenia scenografii do opery?

To jest dokładnie ta sama różnica, co między malarstwem a rzeźbą. Nagle dostajemy trzeci wymiar, głębię. Do naszej sztuki wizualnej dochodzi muzyka, śpiew, teatr, cała ta skomplikowana tkanka, w której jesteśmy już tylko partnerem, częścią większego organizmu, jakim jest spektakl. Oczywiście, zdarzają się przypadki, kiedy artysta całkowicie dominuje przedstawienie; w operze klasycznym przykładem jest „Czarodziejski flet” w scenografii Chagalla. Krytyka napisała raz, że tam właściwie nie ma Mozarta, jest tylko Chagall. To wrażenie dominacji jest bardzo ważne, bo ja absolutnie nie chciałem zdominować tej fantastycznej muzyki stworzonej przez moim zdaniem największego geniusza ludzkości.

Zastanawiałam się nad tym, czy nie będzie tak, że ktoś przyjdzie na Mozarta, a wciągnie go Olbiński.

Jeśli Olbiński wciągnie kogoś do Mozarta, to świetnie, bardzo mnie to ucieszy. To znaczy, że moja rola była tu służebna. W operach, przy których pracowałem, czy to w Filadelfii, czy w Warszawskiej Operze Kameralnej, scenografia jest dla mnie przygodą wizualną, ale realizowaną z dużą pokorą. Mam pełną świadomość, że jestem tu tylko partnerem, współpracownikiem Mozarta. Być kimś takim, to jest dopiero komplement.

„Czarodziejski flet” nazwał Pan powrotem do dzieciństwa. Jakie dziecięce obrazy Pan tam przemycił?

Polska
Wtorek–niedziela, 23–28.12.2025

To była metafora dalece odebrwana od mojego dzieciństwa, bo ono było zupełnie inne niż „Czarodziejski flet”. To było dzieciństwo po latach zrujnowanych II wojną światową, zupełnie bez kolorów. Kiedy wracam do nich pamięcią, widzę jedynie szarość, czerń i biel. A jednocześnie wcale nie narzekam, bo to było fantastyczne dzieciństwo. Szara scenografia sprzyjała temu, że sami kreowaliśmy sobie zabawy. Nikt nam nie kupował zabawek ani gotowych rozrywek; wszystko wymyślaliśmy sami. Bawiliśmy się w teatr, w wojny partyzanckie, indiańskie, kowbojskie, a nasza wyobraźnia pracowała bez przerwy. Uważam, że byłem wybrańcem bogów, że miałem takie dzieciństwo. Gdybym dorastał teraz, rodzice kupowałyby mi gry komputerowe, smartfon i tę całą resztę, i byłbym po prostu robotem, wypranym z kreatywności, z umiejętności kwestionowania czegokolwiek.

Skoro mówimy o dzieciństwie, to chciałem zapytać o Pana dom rodzinny. Co Pan ze sobą niesie w pamięci, albo co się za Panem wlecze z tego domu, przez te wszystkie lata?

Dom był pełen ludzi. Mam sześćoro rodzeństwa, w różnym wieku. Kiedy byłem dzieckiem, cały czas jakies dzieci płały się po domu, przychodziły też od sąsiadów. To była mała, ale fajna społeczność podwórek; wszyscy się znali i wszyscy czuli się bezpiecznie, mimo że w lasach po II wojnie światowej znajdowaliśmy niewypały, wrzucaliśmy je do ogniska, liącząc, że wybuchną. Jeśli ktoś z nas się zgubił, sąsiadka odprowadzała go do domu. Jeśli byliśmy głodni, sąsiadka dawała zupę albo kromkę chleba. Byłem wyjątkowo szczęśliwym dzieckiem. Miałem pełną chatę, był ciągły ruch, cały czas coś się działo. Nie było telewizji, nie było radia, to my byliśmy radiem i telewizją.

Kiedy nastąpił ten moment, w którym poczuł Pan, że rysowanie, malowanie to Pana zajęcie, przeznaczenie?

To przyszło bardzo późno. Dopiero na studiach architektury zacząłem robić pierwsze plakaty. Trochę przypadkiem, bo organizowano różne konkursy. Wtedy w Polsce plakacista był niemal bohaterem narodowym, mówiło się o Polskiej Szkole Plakatu. W akademiku siedzieliśmy więc po nocach, rysowaliśmy, wysyłaliśmy prace na konkursy. Wcale nie po to, żeby zostać artystami, to nie był plan. Po prostu tak wyszło. A szkoła rysunku na wydziale architektury była na świetnym poziomie, więc chcąc nie chcąc, byłem do tego dobrze przygotowany.

Nie pamięta Pan żadnego wyjątkowego rysunku z dzieciństwa?

Rysowałem jak wszyscy: Niemców i partyzantów, samoloty, kowbojów, Indian. Nic szczególnego. Byli koledzy, którzy rysowali lepiej ode mnie. Nie byłem żadnym małym geniuszem, który nagle zabłysnął.

Nie myślał Pan wtedy, że będzie artystą uznanym na całym świecie?

Nie. W tamtym wieku bardziej interesowały mnie dziewczyny. Chciałem być pisarzem i to pragnienie teraz do mnie wraca, skoro piszę poezję. Chodziłem do liceum im. Żeromskiego w Kielcach. Do tej samej szkoły chodził Żeromski, chyba też Asnyk, Herling-Grudziński; słowem, przewinęło się przez nią kilku ważnych pisarzy. Literatura miała tam znaczenie, więc naturalne było, że chciałem pisać. Nic z tego jednak nie wyszło, bo zawsze miałem problemy z ortografią i gramatyką. Z polskiego dostawałem słabe oceny. Nie dlatego, że nie rozumiałem literatury, tylko dlatego, że nie wiedziałem, gdzie ma być „ó” kreskowane, a gdzie nie.

Jak dzisiaj Pan na to patrzy, kiedy wychodzą Pana książki i tomiki poezji?

Nagle okazało się, że ta szkoła jednak coś mi dała, że potrafię pisać. Tym bardziej że dziś mam redaktorkę, która poprawia moje błędy ortograficzne i już nie muszę się z tym zmagać sam.

Kiedy narodził się Olbiński? Kiedy Pan poczuł, że ma nazwisko, za którym idzie styl i legenda? To był jeden przełomowy projekt, czy powolne dojrzewanie?

Nie było w tym żadnego planu. Jeśli w ogóle jest tak, jak Pani mówi, to stało się to powoli, organicznie. Namalowałem około dwóch tysięcy obrazów, zrobiłem ponad dwieście plakatów. Jedne były bardziej widoczne, inne mniej. Cała przystępność z Nowym Jorkiem też w tym pomogła. Patrzę na to dość sceptycznie, bo wcale nie czuję się spełniony. Cały czas najważniejszy jest dla mnie dzień jutrzejszy, następny tydzień, miesiąc, to, co będę robił za rok. Gdyby rok temu zapytała mnie Pani, czy napiszę tom wierszy, powiedziałbym, że to jakiś żart. A nagle powstał album z wierszami, które, jak słyszę, są całkiem przyzwoite. Na spotkaniach autorskich czytają je wybitni aktorzy, powstaje do nich muzyka, ktoś już nagrał trzy piosenki. I to za czyna rosnać, nabierać sensu. Nie mam poczucia, że dotknąłem już szczytu góry i nie wiem, co dalej. Cały czas wspina się po schodach. Niektóre stopnie są wyszczerbione, czasem się potykam, ale się podnoszę i idę dalej. Nie wiem, co będzie.



FOT. DAMIAN BARTOSZEK

Rafał Olbiński: Plonem jest dla mnie ten obraz, którego jeszcze nie namalowałem. Opowiadanie, którego jeszcze nie napisałem

Może za dwa dni zdarzy się wypadek i zginę. Dopiero wtedy będzie można naprawdę ocenić dorobek.

Co się zmieniło w Pana myśleniu o sztuce od czasów pierwszych plakatów do dzisiejszych rzeźb i biżuterii? Jest Pan dziś dla siebie łagodniejszy czy bardziej wymagający?

Zdecydowanie bardziej wymagający. Nauczyłem się tego w Nowym Jorku. Spędziłem tam trzydzieści dwa lata; kawał życia. Przez większość tego czasu byłem tak zwanym komercyjnym ilustratorem, robiłem ilustracje dla różnych wydawnictw, przy okazji odnosiłem sukcesy w plakacie, porównywalne z tym, co robili najlepsi. Nauczyłem się jednej rzeczy: artystę ocenia się po ostatniej pracy, nie po tym, co zrobił kiedyś. Cały czas mam to z tyłu głowy. To, co zrobiłem dwa miesiące temu czy dwa lata temu, właściwie się nie liczy. Liczy się to, co zrobię jutro.

Nie miał Pan nigdy takiego momentu, że w sobie zwątpił? Że pomyślał: „To, co robię, nie ma sensu”?

Oczywiście, że miałem. Cały czas wątpię. To nie jest tak, że

żyję na różowej chmurce zachwyty nad samym sobą. Bardzo często widzę, że to, co robię, jest niedoskonałe. Pytanie, czy ja już namalowałem swój najlepszy obraz albo napisałem najlepszy wiersz, czy jeszcze nie. W pewnym sensie to zwątpienie jest twórcze. Gdy coś namaluję, wysyłam do mojej córki i do kilku znajomych; proszę, żeby krytykowali, a nie chwaliли.

Jaki ma Pan od nich feedback?

Moja córka, która jest dziś dyrektorką artystyczną w ważnym nowojorskim wydawnictwie książkowym, gdzie odpowiada za okładki, patrzy bardzo profesjonalnie. Często mnie krytykuje, pokazując mi rzeczy, których ja w pierwszym momencie nie zauważyłem.

Przyjmuje Pan tę krytykę gładko?

Bywa różnie. Jeśli widzę, że ma ewidentnie rację, przyjmuję krytykę. Jeśli mam wątpliwości, dochodzimy do kompromisu. Podstawą dla mnie jest harmonia. Klasyczne kryteria: co jest piękne, a co nie. I to, co teraz mówię, w ogóle nie jest modne we współczesnej sztuce. Współczesna awan-

garda, ta, która za wszelką cenę chce być nowoczesna, bardzo często jest totalnym filozoficznym bełkotem. Przyklejanie banana czy klucza to jest dla mnie prowokacja. Albo facet, który maluje jedną kreskę poziomą czy przekątną na płótnie. Ja się w tym nie mogę niczego doszukać. Jest wielu artystów, od których dzieł wieje chłodem. Obraz powinien przenosić emocje. Jeśli ich nie przenosi, jeśli nic we mnie nie porusza, to, według mojego kryterium, podkreślam, niemożliwego, coś jest nie tak. Obraz powinien sprawić, że stanę przed nim i powiem: „Wow, to jest czad!”. A jeśli w dodatku pojawi się znak zapytania „dla czego?”, to tym lepiej. Jeżeli tego nie ma, jeśli patrzę i na siłę próbuję znaleźć w tym coś więcej niż pretensjonalną dekorację, to mówię: „nie”.

Talent. Co Pan o nim myśli? To dar z nieba, zestaw genów, ciężka praca?

Nie mam pojęcia, czym on jest. Już pani mówiłem, w dzieciństwie nie uważałem, że go mam. Nie wiem, czy w ogóle istnieje coś takiego jak talent w potoczny rozumieniu. To, że dziś łatwo przychodzi mi

szukanie wizualnych symboli, nie jest chyba darem z nieba, tylko efektem pracy. Wymyślałem ilustracje dla „New York Timesa” i innych gazet i była to dla mnie fantastyczna szkoła myślenia obrazem. Po prostu się tego nauczyłem, pracując. Dlatego nie przeceńniałbym talentu.

Po co Panu słowa, skoro ma Pan obrazy? Właśnie wyszedł tom poezji z Pana pracami. Co takiego się stało, że po latach mówienia obrazami poczuł Pan potrzebę powiedzenia czego wprost, słowami?

Jedna sprawa, że są to na pewno jakieś emocjonalne zakręty. A druga: to, że zaczął mnie nużyć pewien rodzaj rutyny w obrazach. I nagle, zupełnie przypadkiem, odkryłem, że potrafię coś napisać. Z ciekawości napisałem pierwszy wiersz.

Jak to, przypadkiem Pan to odkrył?

Na zasadzie zwerbalizowania własnych emocji. Coś sobie zapisałem i okazało się, że to wcale nie jest takie złe. Pomyślałem: „No dobrze, to spróbujmy dalej”. Przejąłem się „Kwiatami zła”, pomyślałem: „Jakie cudowne metafory!”. Zacząłem czytać Baudelaire’a także po francusku, w ramach nauki języka. I nagle te wiersze zaczęły mnie naprawdę poruszać. Przypomniałem sobie, jaką mamy piękną poezję. Choćby wiersz Lechonia, który zawsze noszę w pamięci: „Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczy główną. Powiem ci: śmierć i miłość – obydwie zarówno. Jednej się oczu czarnych, drugiej modrych boj. Te dwie są me miłości i dwie śmierci moje”. To jest piękne. Jeżeli ja to czuję jako piękne, to naturalne, że chciałbym też napisać coś równie pięknego. W malarstwie mamy podobnie: inspirujemy się innymi. Nie robimy „kopi”, ale inspiracja prowadzi nas dalej. Tak samo było z wierszami: one we mnie zapadły. Czy też potrafię zrobić coś równie pięknego? Skoro się wzruszyłem, może kiedyś wzruszę się swoim własnym wierszem. I tak to poszło.

Ale czy ten tom poezji w ogóle by powstał, gdyby nie to, co wydarzyło się w Pana życiu prywatnym?

O czym Pani mówi? Konkretnie?

O miłości.

Oczywiście, że miłość jest do tego potrzebna. Najlepiej, niestety, miłość nieszczęśliwa. Bo kiedy jest bardzo szczęśliwa, człowiek nie ma czasu na pisanie wierszy. (Śmiech) Ale tak, miłość pomaga. Zakochiwanie się, im częściej, tym lepiej, we wszystkich obszarach naszej działalności nas uskrzydla. To jest dodatkowa ostroga emocjonalna, która wyzwała w nas

rzeczy, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia.

Co w Panu wyzwoliło?

Pewną wrażliwość, którą w sobie zakopałem. O której zapomniałem, że ją mam.

Jak nazwać miłość na dojrzałym etapie życia? Jak Pan ją widzi? Jako nową opowieść, czy prezent od życia?

Przy książce o Nowym Jorku wymyślałem do każdego rozdziału takie małe motto, złote myśli. Myślałem wtedy też o miłości. O tym, czym ona jest? Pomyślałem, że przez długi czas żyłem w letargu: praca, praca, praca. I ciągle czegoś mi brakowało. Miłość to też czułość. Zapomnieliśmy, że czułość jest integralną częścią miłości. W pogoni za miłością oglądamy filmy pornograficzne, ale czy to jest miłość? Zredukowaliśmy miłość do kopulacji. To potworne uproszczenie. W pogoni za pieniędzmi nie mamy czasu na prawdziwe emocje. Nie mamy czasu na poezję. Kto czyta teraz poezję?

Co Pan wymyślił o miłości?

Wymyśliłem, że bez czułości, bez miłości nasze życie jest jak smutne, skrzypiące schody donikąd.

Jakie to piękne! Czy to jest zdanie, którym można opisać miłość?

Usiłowałem. (Śmiech)

Miłość nauczyła Pana czegoś o Panu samym, czego wcześniej Pan o sobie nie wiedział?

Pokazała, że mam w środku jeszcze coś, o czym nie miałem pojęcia. Miłość to ze mnie wydobyla, odsłania. Przez całe życie powinniśmy raczej patrzeć w głąb siebie. Tymczasem wszystko wokół działa tak, żebyśmy tam nie zaglądali. System nas nieustannie odciąga na zewnątrz: tu masz rozrywkę, tu jedzenie, tu szczęście. Szczęście też jest rzekomo na zewnątrz. A my mamy być przeciętnymi zjadaczami chleba. System pracuje nad tym, żebyśmy byli przeciętni moralnie, przeciętni kulturalnie. Typowi konsumenci, dla których miłość to pornofilm, w przerwie piwko, pizza, mecz, kebab i jakiś rap. A przecież to nie tylko to.

Wydał Pan też książkę „Mój Nowy Jork”. Jaki jest Pana Nowy Jork?

To jest właściwie czysta literatura. Na każdym rogu ulicy jest gotowe opowiadanie. Tam jest cała ludzka menażeria. Wszystkie typy, jakie istnieją, w końcu lądują w Nowym Jorku. To kocioł, w którym mimo kryzysów, nieustannie się gotuje. Dobrze, że z Nowego Jorku wyjechałem. Bałem się, że stanę się jednym z kamieni tego miasta; takim, którego się kopie po drodze. A tak mogę to wszystko obserwować z dystansu.

Czy po tylu latach nie czuje Pan, że zbiera plony, że przyszedł czas odcinać kupony?

Co to w ogóle znaczy „zbieranie plonów”? Jakie plony i co ja niby mam z nimi zrobić? Plonem jest dla mnie ten obraz, którego jeszcze nie namalowałem. Opowiadanie, którego jeszcze nie napisałem. Jeśli już coś zbieram, to wcale nie jestem pewien, że to są najlepsze plony. Nie wiem, czy moja „Mona Lisa” została już namalowana, czy dopiero powstanie. I ta niewiadoma jest największą frajdą. Gdybym wiedział, co będzie za pół roku, to, szczerze, popełniłbym samobójstwo. Bo po co żyć, jeśli już wszystko wiemy?

Czy sztuka może coś zmienić w życiu jednego człowieka? Ma Pan takie historie od swoich odbiorców?

Mnóstwo. Raz zadzwoniono do mnie z galerii w Nowym Orleanie: kierowca autobusu kupił mój obraz i spłaca go po 50 dolarów miesięcznie przez trzy lata. To jest wzruszające, bo on nie kupił go po to, żeby sprzedać z zyskiem. Kupił, bo chciał z tym obrazem być. Druga historia: facet z Teksasu zadzwonił z pytaniem, czy może użyć reprodukcji mojego obrazu na grobie swojego synka, który zginął w wypadku samochodowym. Takie rzeczy mnie powalają. Wtedy widzę, że to, co robimy, ma sens. Nie wtedy, kiedy ktoś kupuje obraz, żeby go odsprzedać na aukcji i zarobić. Nie o to chodzi.

Gdyby miał Pan wybrać jeden swój obraz, jedną rzeźbę, jedną scenografię, coś w rodzaju Pańskiego credo, bo nie chcę mówić: testamentu, to czy istnieje coś takiego?

Jest jeden wiersz, nie obraz. Powstał z mojego wkurzenia. I jest czymś w rodzaju testamentu, podsumowaniem mojego życia.

Który?

Przeczytałem Pani: „Dawno dzieciństwo przemineło, odeszli w mrok bohaterowie: i Winnetou, i Napoleon, Zawisza Czarna, dwaj Mieszkwowie. Marzyłem, żeby być powstańcem, broniąc okopów i barykad, flagą spowity i różańcem, nie chciałem oddać im guzika. Gdy młodość przyszała, a hormony skruszyły mity patriotyczne, wokół rozkwitły przysze żony, miewałem wizję erotyczne. Pamiętałem pocałunek pierwszy, po którym mi szumiała głowa, i w notatniku tysiąc wierszy, idolem stał się Casanova. Kiedy wiek męski mnie przywalił swą nieznosną lekkością bytu, chciałem być jak Salvador Dali lub któryś z supercelebrytów. A teraz, kiedy wiem już wiele, nie chcę oklasków ani głosu, nie chcę być PIN-em czy peselem. Chcę być po prostu tyłko sobą, iskrą nadziei w śnie kosmosu”.

JASIEK PIWOWARCZYK: WŁOŻYŁEM WIELE PRACY, ŻEBY NA SCENIE BYĆ NATURALNYM

Tegoroczną edycję telewizyjnego „The Voice of Poland” wygrał bezkonkurencyjnie Jasiek Piwowarczyk. Młody wokalista od początku programu wzbudzał entuzjazm widzów. Teraz opowiada nam o swojej drodze do zwycięstwa

Patryk Gzyl

Jak to jest mieć „najlepszy głos w Polsce”?

(śmiej) Oj, uważałbym w tym sformułowaniu. Ja się w ogóle tak nie czuję. Tak naprawdę trudno stwierdzić, kto ma ten „najlepszy głos w Polsce”. Dla mnie to trochę absurdalne, że takie miano w tym programie jest przyznawane. W tym roku była wyjątkowo mocna edycja. Łapaliśmy się wręcz za głowy, kiedy trenerzy musieli dokonywać decyzji, kto przechodzi dalej, a kto nie. Ostatecznie decydowały o tym jakieś czynniki emocjonalne, a nie walory techniczne.

Finał „The Voice of Poland” oglądało pewnie ze dwa miliony widzów. Rozpoznają cię ludzie na ulicy?

Tak. Są takie sytuacje. Ludzie podchodzą, robią sobie zdjęcia, czasem widzę, że też z ukrycia. (śmiej) Dużo jeżdżę komunikacją miejską, więc często zauważam, że ludzie się na mnie patrzą. Niby to miłe, ale też trochę krępujące, bo to nowa sytuacja dla mnie. Ja lubię towarzyszywo i rozmowy z innymi, ale nie jestem osobą, która celowo zwraca na siebie uwagę.

Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić.

Pewnie teraz po programie to tak wygląda, a potem z czasem się uspokoi. Na pewno dużo zależy od tego, co dalej zrobię muzycznie i czy tych ludzi przy sobie zatrzymam. To dla mnie zadanie bojowe. Na pewno nie będę się koncentrował na tej mojej popularności, bo nie chodzi mi o to, żeby być gwiazdą. Rozpoznawalność powinna być wynikiem mojej pracy jako artysty, a nie celem samym w sobie. Ja powinienem mieć coś do przekazania - a jak ludzie na to zareagują, to już kwestia niezależna

ode mnie. Oczywiście będzie mi miło, kiedy ten odbiór będzie szeroki, bo przecież każdy artysta chce mieć jak największą publiczność. Ale nie powinien tego chcieć ze względu na samą popularność, ale dlatego, że chce się dzielić z innymi swoją twórczością.

Jak świętowałeś zwycięstwo?

Mieliśmy bankiet w telewizji. Program skończył się dosyć późno i zanim udzielił mi się w studiu, znał mi się więc na ścianie, to była chyba już trzecia nad ranem. Dopiero potem podczas rozmów miałem okazję, by wszystkim podziękować za współpracę. Bo myślny się bardzo zżyli przy tym programie. I to nie tylko z uczestnikami, ale też z produkcją. Ostatnie tygodnie to była bardzo intensywna praca - pojawialiśmy się codziennie w studiu, znał mi się więc ze wszystkimi, spędzaliśmy ze sobą nawet wolny czas między występami. Panowała świetna atmosfera.

Bukmacherzy i internauci niemal od początku typowali cię na zwycięzcę tej edycji „Voice’a”. Byłeś pewny wygranej?

Wręcz przeciwnie: narzucało to pewną presję. Dziś jestem z siebie bardzo dumny, że ją wytrzymałem. A było to bardzo trudne. Kiedy jesteś faworytem i wszyscy o tym mówią, to chcąc nie chcąc, chcesz sprostać tym oczekiwaniom. Dlatego, choć docierały do mnie takie informacje, starałem się wszystkim dobrze zaśpiewać. Zdawałem sobie równocześnie sprawę, że „The Voice” to telewizyjny show i tu się może wszystko wydarzyć. Już nie raz tak bywało, że bukmacherzy się pomylili. (śmiej) Brałem więc to pod uwagę. Skupiałem się na zadaniu i zostawiłem lo-

sowi, jak to się dalej ma potoczyć.

Wszyscy sądzili, że ostateczna walka rozegra się między tobą a Mateuszem Jagiełłą. Żałujesz, że tak się nie stało?

Każdy z nas reprezentował trochę inny styl, miał inną barwę głosu i osobowość sceniczną. Dlatego werdykty trenerów już na etapie „nokautów” były bardzo trudne. Ja sam bym się nie podjął decydowania o tym, kto przejdzie dalej, a kto odpadnie. I widziałem po trenerach, że ich też bardzo dużo kosztowało to emocjonalnie.

Ostatecznie zadecydowali widzowie. Dlaczego postawili akurat na ciebie?

Z tego, co wiem, to ludziom spodobało się, że starałem się być naturalny. Postawiłem bowiem w tym programie na to, że nie będę kreował siebie na kogoś, kim nie jestem. W ostatnich latach włożyłem wiele pracy w to, żeby być naturalnym na scenie. Bo wiadomo, że kiedy człowiek zaczyna występować, nie do końca jest sobą. Ubieramy wtedy jakieś maski sceniczne, choćby po to, by ukryć stres. A tymczasem autentyczność jest najważniejszą cechą artysty. Są oczywiście tacy artyści, którzy kreują na scenie jakieś osoby - i nie mówię, że to jest złe. Ale ja się w tym nie odnajduję.

Wiesz już na co przeznaczysz 100 tys. zł, które wygrałeś?

To dla mnie bardzo abstrakcyjna sytuacja, bo nigdy nie byłem jakąś majątną osobą. O tym, że możemy wygrać aż 100 tys. zł, dowiedzieliśmy się dopiero dwa tygodnie przed finałem. Zgłaszając się do programu, nie miałem pojęcia, jaka będzie wysokość nagrody głównej, bo to się w ostatnich latach bardzo zmieniało. Tak

wysokiej kwoty chyba jeszcze nie było. Tym bardziej jest mi miło, że padło akurat na mnie. (śmiej) Bardzo mi się na pewno te pieniądze przydadzą. Poza wakacjami, których teraz potrzebuję, będę chciał zaoszczędzić na przyszłość, żeby miał z czego inwestować w muzykę.

Jak to się stało, że zgłosiłeś się do programu?

Oglądałem „The Voice” od dziecka i marzyłem, żeby w nim wystąpić. Bo to program, który każda osoba w Polsce, która jest zaangażowana muzycznie, gdzieś tam śledzi na którymś etapie swej kariery. Ja oglądałem go uważnie do któregoś sezonu, a później zerkałem tylko, kto jest w finale, tym bardziej że przewijało się tam trochę znajomych. W ostatnich latach poświęciłem się edukacji - najpierw dostałem się do Akademii Muzycznej w Katowicach, a potem do szkoły muzycznej II stopnia w Krakowie - i to mnie trochę pochłoneło. Nie miałem więc przestrzeni na udział w takim programie. Ale spróbowałem swych sił w zeszłym roku. Dostałem się i kiedy miałem wystąpić w przesłuchaniach w ciemno, stchórzyłem i uciekłem. (śmiej) Żałowałem tego trochę potem, ale dziś myślę, że był w tym jakiś palec Boży, ponieważ nie byłem jeszcze wtedy na to gotowy. Wróciłem więc w tym roku i tym razem wszystko poszło jak trzeba.

Zaśpiewałeś w przesłuchaniach w ciemno nieoczywistą piosenkę Luthera Vandrossa. Skąd taki pomysł?

W ostatnich latach zafascynowałem się „czarną” muzyką - jazzem, soulem, funkiem. Dlatego ten utwór był bardzo bliski mojemu sercu. To lata 80., czyli ten czas, który cenię naj-

Polska
Wtorek-niedziela, 23-28.12.2025

bardziej ze wszystkich muzycznych dekad. Luther Vandross jest dla mnie wielką inspiracją i czułem wielki zaszczyt i mocą zaśpiewać ten utwór.

Odwróciły się wszystkie fotele, ale większe wrażenie na trenerach wywarła potem polska piosenka, którą wykonałeś - „Dziwny jest ten świat” Czesława Niemena.

No tak mówią. Nie spodziewałem się, że „Dziwny jest ten świat” odbije się tak szerokim echem. To było dla mnie wielkie zaskoczenie. Bo przyszedłem do tego programu bez żadnych oczekiwań. Po prostu chciałem spróbować swych sił przed kamerami, zmierzyć się z występowaniem w telewizji, wyjść ze swej strefy komfortu. „Dziwny jest ten świat” przyszedł mi do głowy bardzo spontanicznie. Wykonywałem ten utwór kilka razy na koncertach i kiedy w programie usłyszałem, że mam zaśpiewać jakąś polską piosenkę, pomyślałem, że może trzeba oddać hołd Czesławowi Niemenowi. I to była dobra decyzja.

Ze względu na blokady, które trenerzy zastosowali wobec siebie, byłeś zmuszony wygrać na swą trenerkę Margaret. Jak ci się z nią pracowało?

Z racji mojego wykształcenia najbliższe było mi oczywiście do Kuby Badacha. Zostałem jednak postawiony przed koniecznością wybrania Margaret. I dziś uważam, że to kolejny dar od losu w moim życiu. Współpraca z nią okazała się bowiem czymś niesamowitym. Margaret jest bardzo ciepłą osobą, wspaniałą artystką i wielkim zaszczytem było dla mnie móc z nią pracować. Wiele się od niej nauczyłem. Już od początku otoczyła całą swą grupę niemal matczyną opieką, dzięki czemu wychodząc na scenę, wiedzieliśmy, że mamy w niej wielkie wsparcie. Kiedy z programu odpadła Lena Cichocka, Margaret obiecała, że pomoże jej nagrać singiel w swym studiu - i faktycznie tak się potem stało. Gosia jest więc prywatnie dokładnie taka, jak przed kamerami. Czyli miła, ciepła i bardzo wspierająca. Ma duże doświadczenie w show-biznesie, udzieliła nam więc wielu ciekawych rad. Miała też sensowny wpływ na to, jakie utwory śpiewaliśmy.

No właśnie: ty sięgałeś po potężne piosenki, jak „Bohemian Rhapsody” czy „Saving All My Love For You”. Nie bałeś się mierzyć z Freddiem Mercuryem czy z Whitney Houston?

Bardzo się bałem. (śmiej) Ale Margaret z odcinka na odcinek celowo podnosiła mi poprzeczkę. Nie po to jednak, żeby mi nie wyszło, ale żeby mi się rozwinęło. Bo ja sam absolutnie nie wybrałbym sobie takich

utworów. Zaczęło się od „Beautiful Things” Bensona Bonone’a - w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, żeby sięgnąć po taką piosenkę. Tam są bardzo wysokie dźwięki, zaśpiewanie ich na żywo było więc dla mnie wielkim wyzwaniem. Nigdy wcześniej nie mierzyłem się z takimi utworami. Potem, kiedy dowiedziałem się, że mam śpiewać w finale „Bohemian Rhapsody”, popukałem się w głowę, myśląc, że ktoś oszalał. Usłyszałem jednak: „Skoro zaśpiewałeś »Dziwny jest ten świat«, to »Bohemian Rhapsody« też dasz radę”.

Które ze swoich wykonani w programie oceniasz najlepiej?

Jestem bardzo krytyczny wobec siebie, co pewnie wynika z mojego perfekcjonizmu, daleki byłbym więc od entuzjazmu, jaki można było obserwować w mediach wokół tych moich występów. Generalnie jestem jednak zadowolony z wszystkich, nawet z tych, gdzie wydolnościowo było ciężko. Najtrudniejszym momentem był przedostatni odcinek na żywo, kiedy śpiewałem „Saving All My Love For You”. To bardzo trudny utwór technicznie, przy którym nie da się kombinować, tylko trzeba go zaprezentować jak hołd dla Whitney Houston. Jakby tego było mało, śpiewałem go zaraz po wykonaniu swego singla „Ushuaia”, w którym bardzo mocno używam głosu i czułem, że niedomagam wydolnościowo. Ostatecznie jednak dałem radę - i nawet z tego występu jestem zadowolony.

W porównaniu z twoimi wcześniejszymi wykonaniami duet z Margaret w „Kochanej” w finale był trochę mało efektowny.

Nie mam takiego wrażenia. Ten utwór miał być wzruszający - to nie miało być wielkie show. Skupiliśmy się przede wszystkim na treści i emocjach. Z racji tego, że wcześniej śpiewałem mocne piosenki, „Kochana” mogła robić trochę mniejsze wrażenie. Tam faktycznie nie było przestrzeni na to, by śpiewać wysokie dźwięki. Ale taka jest muzyka: nie zawsze im ktoś zaśpiewa wyżej i głośniejsze, to jest to lepsze. Czasem trzeba postawić na emocje i przekaz. Takie było nasze zamierzenie i uważam, że tego rodzaju wykonania też są potrzebne.

Masz już własny singiel - efektowny utwór „Ushuaia”. Dobrze się w nim czujesz?

Na początku byłam przerażona, bo to trudna piosenka do zaśpiewania. Mieliśmy tak naprawdę tylko jeden dzień, żeby ją zrobić. To bardzo mało czasu. A wiadomo, jak się nagrywa w studiu - wszystko robi się partiami. Czyli ostatecznie



FOT. MAT. PRAS. TVP

Jasio Piwowarczyk: Przyszedłem do tego programu bez żadnych oczekiwań. Chciałem spróbować swych sił przed kamerami, wyjść ze swej strefy komfortu

fajnie to brzmi, ale w końcu trzeba piosenkę zaśpiewać w całości. Początkowo miałem więc z tym trochę problemów.

Niektórym nie spodobał się tekst „Ushuai” – po programie poszła w internecie wieść, że niby jest sprzeczny z chrześcijańskimi wartościami. Byłeś tym zaskoczony?

Tak. Dochodząc do finału programu, jesteśmy przygotowani, że spadnie na nas krytyka w internecie. Zresztą Madzia Chołuj spotkała się z nią jeszcze wcześniej, bo wylał się na nią niespodziewany hejt. Mnie oberwało się dopiero po programie. Początkowo się wystraszyłem, bo pomyślałem, że może trochę przesadziłem. Ale to była krótka chwila. „Zaraz. Stop. Przecież wiem, o czym pisałem ten tekst” – stwierdziłem. Zresztą to była praca wspólna i nad tym tekstem czuwało więcej ludzi. Miałem więc pewność, że nie popełnilibyśmy jakichś karygodnych błędów. Dlatego postanowiłem napisać w internecie, co o tym sądzę. Oczywiście rozumiem, że ten tekst można tak zinterpretować. Ale nie do-

tyczy on mnie – tylko wymyślonego podmiotu lirycznego, który znalazł się w dramatycznej sytuacji, kiedy nie ma miłości ani do siebie, ani do drugiego człowieka. Prywatnie coś takiego jest mi obce i absolutnie nie zamierzam przechodzić na ciemną stronę mocy.

Wygrałeś kontrakt na wydanie debiutanckiego albumu. Masz już pomysł, jaki miałby on być? Jeszcze nie wiem do końca, w którą stronę chciałbym muzycznie pójść. A to dlatego, że lubię bardzo różne gatunki. Mam nadzieję, że uda mi się napisać coś na pograniczu kilku stylów, wykorzystując środki wyrazu, które są przystępne dla szerszej publiczności. Tekstowo chciałbym, aby udało mi się zawrzeć na takiej płycie bliskie mi wartości.

A chciałbyś, żeby to były twoje autorskie piosenki?

Myszę, że tam, gdzie dam radę i znajdę przestrzeń, chciałbym odcisnąć swoje piętno na tej muzyce. Ale generalnie bardzo mi się podoba, kiedy teksty piszą profesjonalni autorzy. Kiedyś było to bardzo popularne,

dziś może trochę mniej. Podobają mi się też współpraca z innymi kompozytorami i producentami, bo jeśli coś tworzy kilka osób, efekt może być lepszy niż wtedy, kiedy odpowiada za to tylko jedna osoba. Ja wiem, jakie są moje mocne strony w procesie twórczym, fajnie więc będzie posiłkować się kimś, kto umie robić lepiej to, w czym ja akurat nie czuję się najsilniejszy. Nie chciałbym na pewno pisać tekstów, które bezpośrednio dotyczą mojej osoby i moich przeżyć. Wolałbym poruszać bardziej uniwersalne tematy, które zainteresują szersze grono odbiorców.

Śpiewasz właściwie od dziecka. To rodzice popchnęli cię w tę stronę?

Tak. Śpiewałem od najmłodszych lat, rodzice stwierdzili więc, że jestem uzdolniony muzycznie i zapisali mnie do Chóru Chłopięcego Filharmonii Krakowskiej. Poszedłem na przesłuchania, dostałem się i spędziłem w tym zespole następne dziesięć lat. To była bardzo dobra szkoła wokalna. Dorastałem w środowisku złożonym z uczniów szkół muzycz-

nych u boku pani profesor Lidii Matynian, która prowadzi ten chór. Była to więc piękna, choć czasem trudna przygoda. Bo wiadomo – to wiek dorastania, nie zawsze więc chce się iść na próbę. Miałem jednak fantastyczne doświadczenie pracy ze wspaniałymi muzykami, wykonywaliśmy bowiem trudne i wymagające rzeczy – od „Credo” i „Pasji” Penderckiego po koncerty jazzowe z Joachimem Mendlem i „Mszę elektroniczną” Schaeffera. Te doświadczenia pomogły mi potem podjąć edukację jazzową.

Dlaczego nie poszedłeś w stronę klasyki?

Nigdy nie myślałem o tym. Kiedy byłem mały, podobała mi się tylko atmosfera przed koncertami w Filharmonii Krakowskiej. Fajnie było obserwować ekscytację muzyków i chóru, ten podniosły nastrój. Rodzice chcieli mnie zapisać do szkoły muzycznej, ale na pierwszych zajęciach rozplakałem się i powiedziałem, że nie chcę tu chodzić. W sumie nie wiem do dzisiaj dlaczego, bo nic tam niefajnego się nie działo. Rodzice stwierdzili jednak, że nie będą mnie na siłę męczyć. I dzisiaj myślę, że dobrze się stało, bo dzięki temu poszedłem w trochę inną stronę. W chórze miałem muzykę klasyczną, a w domu – klasycznego rocka w stylu Pink Floyd czy Led Zeppelin. Byliśmy też z rodzicami zapalonymi słuchaczami Trójki, więc i radio bardzo ukształtowało mój gust.

To wszystko odbija się teraz w tym, co obecnie śpiewasz – bo to soul z grupą The Ancimons, etno z Hulajduszą i pociągająca muzyka z zespołu z Juliana Tuwima z Jasio Piwowarczyk Group. Po prostu kocham muzykę i słucham bardzo różnych rzeczy. Zarówno klasyki, jak i rozrywki, bardzo lubię też folklor. Nie jestem więc w stanie powiedzieć, co mnie najbardziej pociąga.

Masz też w swej biografii występy na scenach krakowskich teatrów – Słowackiego, Bakałarza i Opery.

Od dziecka udzielałem się w szkołach również aktorsko. Nawet przez pewien czas myślałem, że pójdę w stronę tego zawodu. Stąd przez dwa lata grałem w muzycznym spektaklu Jarosława Kiliana „Pacjent EGBDF”. To była pierwsza moja przygoda z dużą sceną. Potem wystąpiłem na benefisie Jacka Wójcickiego w Teatrze STU i z chórem filharmonii w Operze Krakowskiej. Wymyśliłem więc sobie autorską szkołę musicalową Macieja Pawłowskiego. Muzyka i teatr były przez pewien czas u mnie na równi. Ostatecznie jednak śpiewanie okazało się najważniejsze.

Czyli wszędzie cię pełno w artystycznym świątku Krakowa? (śmiech) Takie jest to miasto. Tutaj wszystko się ze sobą przeplata. Choćby w takiej Piwnicy pod Baranami.

Tam też występowałeś?

Tak. Ale muzycznie, nie aktorsko. Śpiewałem podczas koncertów z muzyką Louisa Armstronga i Cheta Bakera.

W finale „The Voice” podziękowałeś swym wszystkim nauczycielom – i było to naprawdę niezwykle. Jedni pokazują nauczycielom środkowy palec i mówią „fuck you”, a inni dziękują. Jak to się dzieje?

Cała moja edukacja artystyczna nie odbyłaby się, gdyby nie moi wspaniali nauczyciele. Akurat mam to szczęście, że spotkałem naprawdę fantastycznych pedagogów. Z wieloma z nich jestem do dziś w kontakcie, zostaliśmy przyjaciółmi i nawet współpracujemy ze sobą artystycznie. Miałem kilku takich nauczycieli, którzy mnie wręcz pchali do przodu. Dzięki temu jestem teraz w tym miejscu, w którym jestem.

Bardzo wspierały cię na Facebooku podczas trwania programu siostry prezentki, w których liceum w Krakowie się uczyłeś. Masz dobre wspomnienia z tej szkoły?

Bardzo. To była wspaniała szkoła i świetny czas. Byłem wtedy nastolatkiem, a to bardzo trudny okres i ta szkoła wydarzyła się w moim życiu w odpowiednim czasie. Trafili tam na wspaniałych nauczycieli, którzy tworzyli wręcz rodzinną atmosferę. Zależało im naprawdę na nas, dzięki temu łatwiej potem było nam wejść w dorosłe życie. To było prawdziwe błogosławieństwo, że spotkałem takich nauczycieli na swojej drodze.

Nie ukrywasz, że jesteś chrześcijaninem. Śpiewasz w zespole uwielbieniowym Bonoboco i występowałeś podczas rekolekcji Strefa Chwały. Można wyznawać swą wiarę śpiewem?

Absolutnie! To są wartości bardzo mi bliskie, w które mocno wierzę. A przecież za pomocą sztuki wyrażamy to, co w nas głęboko siedzi. Jeśli więc czymś żyję, to te treści muszą się znaleźć w moich piosenkach.

Świat show-biznesu często jest na bakier z ewangelicznymi wartościami. Nie boisz się doń wchodzić?

Nie mam z tym najmniejszego problemu. Funkcjonujemy w społeczeństwie, gdzie ludzie mają różne poglądy. Generalnie w Europie pewnie wszyscy wyznają podobne wartości, bo nasze prawo i kultura zbudowane są na judeochrześcijańskim fundamencie. Obracamy

się jednak w różnych środowiskach. W show-biznesie są ludzie wierzący i niewierzący, ateści i apostości. Oczywiście zdarzają się wśród chrześcijan opinie, że wchodząc do tego świata, pewnie zejdem na złą drogę. Dla mnie to jednak absurdalne. Ja przede wszystkim patrzę na kogoś, kogo spotykam, jako na drugiego człowieka, a nie przez pryzmat tego, w co wierzy. Staram się wyznawać wartości chrześcijańskie swym życiem – i to jest dla mnie najważniejsze.

Na pewno głosowało na ciebie mnóstwo dziewczyn. Nie przeszkadza ci, że stałeś się obiektem westchnień setek nastolatków?

(śmiech) Ale ja nie wiem, czy tak się stało! Jeśli jednak byłoby tak naprawdę, to dla mnie bardzo miłe. Każde zainteresowanie jest dla artysty cenne.

Masz kogoś bliskiego sercu czy jesteś do wzięcia?

(śmiech) Jestem do wzięcia.

Przed tobą Sylwester z Dwójką w Katowicach pod Spodkiem. Dasz sobie radę przed tak liczną publicznością?

Faktycznie – chyba jeszcze nie śpiewałem przed tak dużą widownią. Ale myślę sobie, że po występach na żywo w Telewizji Polskiej, które oglądało kilka milionów widzów, nic już dla mnie nie będzie straszne. (śmiech) Zobaczymy, jakie będą emocje. Pokażę się przecież obok takich gwiazd, jak Maryla Rodowicz, Justyna Steczkowska czy Doda.

A potem festiwal w Opolu. To będzie spełnienie twoich marzeń?

Na pewno. Opolski amfiteatr to miejsce, o którym marzy chyba każdy wokalista i wokalistka w Polsce. To będzie dla mnie wielki zaszczyt stanąć na tej scenie, która jest stolicą polskiej piosenki.

A pojechałbyś na Eurowizję?

Pewnie! Kiedy byłem dzieckiem, oglądałem wszystkie edycje. To, co dzisiaj dzieje się na Eurowizji, jednak jakoś mniej mi odpowiada. Ten festiwal bardzo zmienił się pod kątem muzycznym. Mogłbym się pokazać w tym konkursie, ale nie naginając się pod obecnie dominujące w nim trendy, tylko na własnych zasadach. Na pewno musiałbym oczywiście włożyć w to wiele pracy.

Gdzie widzisz siebie za 10 lat?

Ciężko to stwierdzić. Teraz w tak krótkim czasie stało się tak wiele. Na pewno chciałbym być piosenkarzem, który wydał już kilka płyt, pokazał swoje muzyczne ja, wystąpił na ważnych festiwalach i scenach, ma wierne grono odbiorców i nie musi się martwić o przyszłość.

BOŻONARODZENIOWE CRIME STORY

Okres świąt to nie tylko czas radości, ale i wielkich dramatów. Zbrodnie dokonane w Boże Narodzenie są dość charakterystyczne. Stoją za nimi emocje: nienawiść, gniew, duma, zazdrość, uraza skrywana przez lata.

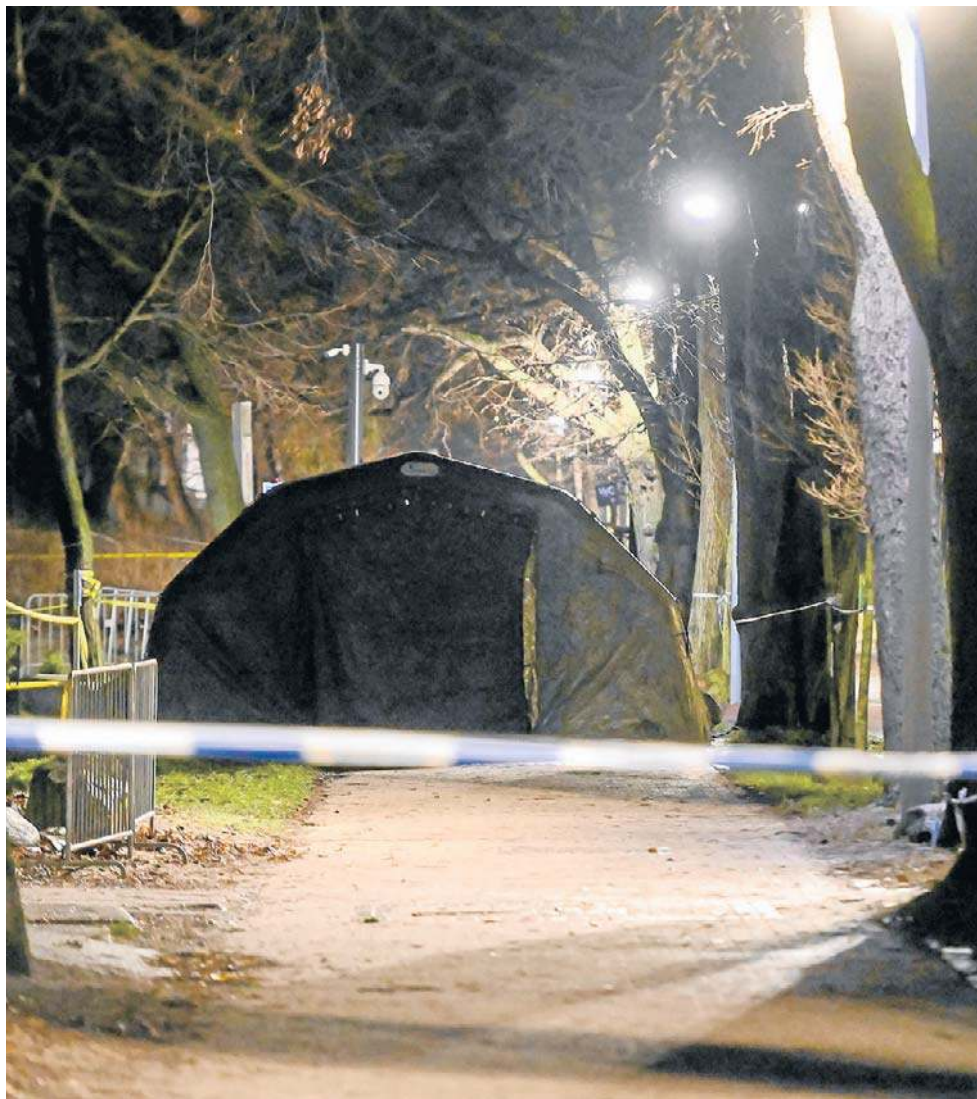
Ofiary giną najczęściej z rąk bliskich sobie osób lub przynajmniej znajomych. Często przy świątecznym stole

Dorota Kowalska

Lbliża się Boże Narodzenie. Senior rodu Simeon Lee do swej rezydencji zaprasza rodzinę. Spotkanie jest nietypowe, gdyż Lee niemal nie utrzymywał z dziećmi kontaktów. Mało przyjemnej atmosfery nie poprawia pojawienie się uchodzącego za czarną owcę syna, a tym bardziej wnuczki, którą rodzina widzi po raz pierwszy. W ponurych nastrojach podsyconych pragnieniem odziedzczenia jak największego spadku zebrani dowiadują się o zabójstwie złośliwego milionera. Do akcji wkracza niezastąpiony Herkules Poirot. Przed detektywem trudna zagadka - okazuje się bowiem, że z sypialni Simeona zniknęły diamenty, nie wszyscy goście ujawnili prawdziwą tożsamość, a zamordowany miał niejednego wroga” - to zapowiedź książki pt. „Morderstwo w Boże Narodzenie” autorstwa niezawodnej Agathy Christie. Herkules Poirot oczywiście rozwiąże zagadkę śmierci Simeona Lee, podobnie jak nieksiążkowi śledczy rozwiązują w rzeczywistym świecie tajemnice morderstw dokonanych w czasie, który powinien nas łączyć, nie dzielić.

Zmowa milczenia

Najbardziej znany świąteczny dramat to zbrodnia związana ze wsią Zrębin, okrzyknięta mianem zbrodni połanieckiej. Zrębin: niewielka wieś pod Połańcem leży dzisiaj w woj. świętokrzyskim. Niemal pięćdziesiąt lat temu wiodła tędy droga, wzdłuż której stało kilkadziesiąt gospodarstw, sklep, remiza, a wokół lasy i pola. W Zrębinie mieszkały trzy spokrewnione ze sobą rodziny: Sojdzów, Adasiów i Kalitów. Te dwie pierwsze nie miały najlepszych relacji z tą trzecią: waśnie, konflikty doprowadziły do tragedii, potwornego mordu, o którym mówią i pisała cała Polska.



Paradoksalnie w Boże Narodzenie policja ma sporo pracy

W Wigilię 1976 roku w kościele w Połańcu odbywała się pasterka, przyszedli na nią mieszkańcy okolicznych wiosek, także ci ze Zrębina. Na mszy nie zabrakło młodego małżeństwa Łukaszków - 25-letniego Stanisława i jego ciężarnej 19-letniej żony Krystyny, był też brat Krystyny - 12-letni Mieczysław Kalita. Ale ta trójka nie dostrzegła do końca pasterki, w pewnym momencie do młodych podeszła cioteczna kuzynka Kalitów i przekazała, że ojciec Krystyny urządził w domu awanturę i muszą jak najszybciej wrócić do Zrębina.

Stanisław, Krystyna i Mieczysław ruszyli pieszo do swojej wsi.

W tym samym czasie na drodze pojawiły się trzy pojazdy: fiat i dwa autobusy pełne rozweselonych pasażerów wracających z alkoholowej imprezy. Był wśród nich Jan Sojda z zięciami. W pewnym momencie jeden z nich, Jan, kierujący samochodem osobowym potrafił Mietka Kalitę.

Krystyna i Stanisław rzucili się mu na ratunek, a wtedy z autobusów wyskoczyli Józef Adaś i Jan Sojda. Stanisława pobili 3-kilogramowym klu-

czem do odkręcania kół. Kiedy skończyli, ruszyli za uciekającą Krystyną. Kobieta była w 5. miesiącu ciąży. Dopadli ją i zaczęli bić. Rozpaczliwie krzyczała: „Wujku, nie zabijaj mnie, wujku, zabrałeś mi męża i brata, zostaw chociaż mnie matce”. Nie słuchali, zatłukli Krystynę na śmierć. Potem rozegrali, pozorując gwałt. Na koniec przejechali fiatem po ciele Mietka, który jeszcze żył i przeraźliwie jęczał.

Jak potem ustalono w śledztwie, pośród pasażerów byli partyjni aktywiści, sołtys, a nawet członek ORMO

(Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej).

Niektórzy próbowali wybiec z autobusu, ale w drzwiach stanął zięć Sojdy - Stanisław Kulpiński. Groził, że jeśli ktoś ucieknie, spotka go los „Kalitowych dzieci”.

Wsiedli więc do autobusów i pojechali na pasterkę. W drodze do Połańca Sojda kazał wszystkim pasażerom uklęknąć i przyrzekać, że nikomu nie powiedzą o tym, co widzieli. Każdemu dawał krzyżyk do całowania, nakłuwał palec agrafką, świadkowie mieli zostawić ślad własnej krwi na kartce papieru, swoistą pieczęć, przyrzeczenie milczenia.

W kościele pasażerowie autobusów wmieszali się w tłum. Jak gdyby nigdy nic śpiewali kolędy, cieszyli się z nadejścia Chrystusa.

No dobrze, ale wróćmy do źródeł sąsiedzkiego konfliktu. Ten trwał latami. Dziadek Krystyny miał kiedyś pomagać w zatrzymaniu Jana Sojdy, podejrzanego o dokonanie gwałtu; później Sojda został skazany na 8 miesięcy więzienia. Kilka lat po wyjściu z zakładu karnego na podwórku Jana Sojdy w dziwnych okolicznościach zginął syn dziadka Kalitów.

Broń, z której zabito kilkunastoletniego chłopca, należała do Sojdy, ale jak ustaliło milicyjne śledztwo, strzelał znajomy Jana. Podobno mężczyzna celował w psa, jednak kula trafiła w dziecko. Śmierć z wykrwawienia nastąpiła w ciągu 5 minut. Za nieumyślne spowodowanie śmierci sprawca odsiedział wyrok, po wyjściu na wolność zginął w wypadku.

Przez lata konflikt pomiędzy Kalitami oraz Sojdami narastał. Momentem przełomowym stało się wesele Krystyny i Staszka, na które zaproszono Sojdzów, obie rodziny były jednak spokrewnione. Siostra Sojdy, Helena, piekła nawet ciasta na weselny stół, inni też pomagali jak mogli. Tyle tylko,

że któryś z biesiadników zauważył, jak Hela Sojda wynosi weselną kielbasę i część wypożyczonej zastawy stołowej. Na drugi dzień cała wieś mówiła tylko o tym. To był skandal, Jan Sojda nie mógł znieść takiej zniewagi. Poprzysiągł zemstę i dotrzymał słowa.

Jeszcze tej samej nocy na miejscu tragedii pojawili się funkcjonariusze MO w Staszowie. Byli przekonani, że doszło do nieszczęśliwego wypadku drogowego, ale z czasem narastały wątpliwości, które doprowadziły ich do najbogatszego gospodarza w okolicy - Jana Sojdy, zwanego też „królem Zrębina”. Bo Sojda to był bogacz, miał ciągnik i telefon, nie miał ich nawet miejscowy sołtys. Był przed laty ławnikiem w sądzie, miał znajomości, dobrze trzymał z lokalną władzą.

Tyle że do śledczych docierało coraz więcej niepokojących informacji. Usłyszeli, że chłopiec wracając z pasterki wykrzykiwał pod oknami Sojdzów: „Zabiliście tyłu ludzi, zabiliście mojego kolegę!”. Milicjanci przesłuchali 14-letniego Stasia S., który zeznał, że widział Józefa Adasia w wigilijną noc przy zwłokach ofiar. Rok później Adaś został aresztowany pod zarzutem spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

Inni mieszkańcy Zrębina też zaczęli wspominać wigilijną noc 1976 roku, bo dokładnie wiedzieli, co się stało na drodze do Połańca. Jan Sojda wciąż próbował kupić milczenie sąsiadów, organizował potajemne spotkania ze świadkami, przekonywał, że mają siedzieć cicho. Tym, którzy się wahali, przystawiał nóż do gardła, groził śmiercią. Część świadków zgłosiła się jednak na milicję.

W maju 1977 roku Jan Sojda został aresztowany, potem do aresztu trafili również jego zięciowie. W listopadzie 1978 roku rozpoczął się proces morderców trójki młodych ludzi.

W czasie procesu rodziny oskarżonych nadal zastraszają świadków. Skutecznie. 38 osób wezwanych przed oblicze sądu milczało bądź odwoływało wcześniejsze zeznania. Ich stała formułą wygłaszaną przed sądem było: „Nie oświadczam się”. Dopiero zarządzone przez sąd kary pieniężne i areszty skłoniły tych ludzi do zeznań. Sami oskarżeni nie przyznawali się do winy. Utrzymywali, że w noc wigilijną nie wychodzili z domów. 10 listopada 1979 roku Sąd Wojewódzki w Tarnobrzegu skazał wszystkich czterech oskarżonych na karę śmierci. obrońcy skazanych złożyli wniosek o rewizję wyroku do Sądu Najwyższego.

W lutym 1982 roku Sąd Najwyższy uznał, że nie wszyscy skazani przez sąd I instancji byli w równym stopniu winni popełnionej zbrodni. Jerzemu

S. i Stanisławowi K. zamieniono wyroki śmierci na kary - odpowiednio 25 i 15 lat więzienia. W przypadku Jana Sojdy i Józefa Adasia wyrok został utrzymany w mocy. Wyroki śmierci wykonano poprzez powieszenie.

Ktoś bliski

Śledczy podkreślają, że zbrodnie dokonane w Boże Narodzenie, w ogóle w święta, to zbrodnie dość charakterystyczne. Stoją za nimi ogromne emocje: nienawiść, gniew, duma, zazdrość. Ofiary giną najczęściej z rąk bliskich sobie osób, lub przynajmniej znajomych, jak Krystyna, Stanisław i Mietek Kalita.

Morderstwo w Sławie Wielkopolskiej w powiecie wągrowieckim szokowało nawet ztwardziałych śledczych. Wszystko wydarzyło się 24 grudnia 2008 roku, kiedy w wigilijną noc większość mieszkańców szła na pasterkę. 15-letnia Natalia od wielu lat znała się ze starszym od siebie o dwa lata Adamem. 17-latek mieszkał sam. Wyniósł się z domu, bo ponoć nie mógł w nim wytrzymać. Natalia zaproponowała, by spędził Wigilię razem z nią i jej bliskimi. Chłopak odmówił. Po rodzinnym spotkaniu 15-latka posłała do niego z opłatkiem. U Adama trwała imieninowa impreza. Młodzi ludzie pili na niej alkohol. Kiedy goście postanowili pójść na pasterkę, 17-latek i Natalia zostali sami.

Wtedy Adam rzucił się na Natalię. Chciał namówić ją na seks. Dziewczyna odmówiała, miała chłopaka, Adama traktowała jak dobrego kolegę. Chłopak chwycił za nóż i pięciokrotnie dźgnął nim koleżankę. 15-latka zmarła.

Bliscy nastolatki, zaniepokojeni jej długą nieobecnością, usiłowali dodzwonić się do Natalii na komórkę. Telefon nie odpowiadał. Rodzina na własną rękę rozpoczęła poszukiwania. Poszli też do mieszkania Adama. Wyważyli drzwi, Natalia leżała pokoju, wszędzie była krew.

17-latek sam zgłosił się na policję. Kilka miesięcy później, w maju 2009 roku stanął przed sądem. Na sali rozpraw zwrócił się do bliskich Natalii, przeprosił. Chłopak został skazany na maksymalną karę, 25 lat więzienia.

Trzy lata wcześniej 23-letni Szymon dowiedział się o tym, że będzie ojcem, jego partnerka była w zaawansowanej ciąży. W Wigilię Bożego Narodzenia para spacerowała nad brzegiem Warty w Poznaniu i wtedy 24-letnia wówczas Dorota, powiedziała mężczyźnie, że nie chce, by miał jakikolwiek kontakt z dzieckiem. Szymon zadał jej 20 ciosów nożem, potem wsadził zwłoki kobiety do bagażnika swojego samochodu i wywiózł w okolicę Rogoźna, kilkadziesiąt kilometrów od Pozna-

nia. Ciało ukrył na działce swojej ciotki. Przesłuchiwany, wielokrotnie zmieniał zeznania, ale kiedy policjanci znaleźli w bagażniku jego auta ślady krwi, przyznał się do zabójstwa.

- Sam nie jestem w stanie odpowiedzieć, dlaczego to się stało (...) Dwojka młodych ludzi, którzy kochali się, mieli problemy finansowe, religijne, w końcu znienawidzili się - mówił, płacząc przed sądem, oskarżony.

Został skazany za podwójne zabójstwo na dożywocie.

Rok temu w Gostyninie na Mazowszu podczas kolacji wigilijnej 35-letni mężczyzna zaatakował swoją 64-letnią matkę i 63-letniego ojca. Kobieta zmarła, mężczyzna trafił do szpitala.

Tego samego roku w Wigilię Bożego Narodzenia Piotr odwiedził swojego starszego brata Pawła. Wszyscy mieszkali w Bogdanie. Świętowali, pili alkohol. Może dlatego szybko doszło do kłótni. Piotr zaatakował brata, bił go po całym ciele jakimś tępym narzędziem. Tej samej nocy poszedł do domu, ale następnego dnia wrócił na miejsce zbrodni. Gdy zobaczył, co zrobił, zadzwonił na numer alarmowy. Na ratunek było już jednak za późno.

Wciąż nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że gdy ostatni raz widział brata, ten był jeszcze żywy, ale przeczą temu dowody.

Trudny czas

W święta spotkamy się z rodziną, przyjaciółmi, bliskimi.

- To czas trudny dla wielu rodzin, bo te dni pokazują, jaka jest wewnętrzna komunikacja w rodzinie, jakie są w niej napięcia i wciąż nierozwiązane konflikty - tłumaczyła w Polskim Radiu 24 Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska, psycholog i psychoterapeuta.

Spotykamy się przy świątecznym stole, na małej przestroni i często bardzo szybko okazuje się, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać. Babcie zadają pytania o odkładany ślub, o to, kiedy wreszcie zdecydujemy się na dzieci, wujostwo pyta, jak idzie nam w pracy, a czasami idzie średnio. Odzywają się stare urazy, konflikty sprzed lat. Jak twierdzi Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska, sytuacja jest ciężka, zwłaszcza kiedy jedziemy do domów rodzinnych na tak zwanej prowincji, a od lat żyjemy w dużych aglomeracjach. Tam zmienia się nasze spojrzenie na świat, mamy inną hierarchię potrzeb niż rodzice czy dalsza rodzina.

- Trzeba nauczyć się rozmawiać z rodzicami, potrafić im powiedzieć: „Tak wiem, że chcielibyście mieć wnuki, ale to dla mnie delikatna sprawa, a ja nie przyjechałam do was, aby o tym teraz rozmawiać podczas świąt, tylko aby cieszyć się waszą obecnością” -



Najbardziej znany świąteczny dramat to zbrodnia związana ze wsią Zrębin, okrzyknięta mianem zbrodni połanieckiej. Na zdjęciu wizja lokalna

tłumaczy Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska.

Psycholog, dr Bartosz Zalewski ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, jest podobnego zdania i wymienia różne powody konfliktów, do których może dochodzić przy świątecznym stole. Pewne napięcia mogą się wiązać z etapem, w jakim jest dana rodzina, z tym, że dzieci są chociażby w okresie budowania swojej tożsamości i negowania tego, czego rodzice od nich oczekują, czy z tym, że rodzina nie jest zadowolona z wyborów podejmowanych przez dzieci.

Innym powodem konfliktów może być to, że podczas spotkań, zwłaszcza w dużym gronie, nie każdy z każdym się lubi. Atmosfera gęstnieje, jeśli przebywamy w towarzystwie osób, z którymi rzadziej się widzimy. W takich relacjach nie musimy mieć jeszcze wypracowanych sposobów wspólnego rozładowywania napięcia.

- Warto dać sobie trochę czasu - radzi psycholog. I dodaje, że można samemu pójść na spacer czy zaaranżować sobie chwilę w samotności.

Poza tym, jak zaznacza dr Zalewski, konflikty pojawiają się, kiedy puszczają hamulce po alkoholu, bo w Polsce w święta tego prawie nie brakuje.

Napięcie może wynikać też z oczekiwania, że święta mają być idealne. Jedni chcą, by cały czas było przyjemnie i miło, inni uważają, że to trudny i sztuczny czas.

- Jak człowiek jest jeden, to przeżywa w środku oba te podejścia. A jak jest więcej osób, rozkłada się to między nimi - mówi psycholog. Wyjaśnia, że podobny mechanizm może działać również w przypadku innych złożonych spraw, które zdarzają się w relacjach. Warto sobie zatem uświadomić, że to, co mówi dana osoba, jest nie tylko wyrażeniem jej własnych poglądów, ale również pewnej tendencji obecnej w rodzinie czy relacji.

Dr Zalewski opowiada też o innym mechanizmie, który może prowadzić do konfliktów.

- Bywa tak, że jakaś część rodziny jest stawiana w roli tych, którzy sprawiają kłopoty, dzięki czemu cała reszta rodziny może czuć, że osiąga sukcesy. W czasie świąt taki mechanizm może się nasilać - mówi. Wyjaśnia, że spokój w rodzinie bywa przywracany przez koncentrowanie się na tych słabszych osobach, omawianie ich problemów, krytykowanie ich lub radzenie im.

- Tak też jest trochę na poziomie społecznym: nierzadko potrzebna jest jakaś grupa,

która będzie tą trudną, tą gorszą. Przez to pozostała część społeczeństwa czuje się dobra, odpowiednia - dodaje psycholog.

Osoby, które stosują tę strategię, nie zawsze są jej świadome.

- Warto się zastanowić, czy na pewno jest tak, że w rodzinie dane osoby zawsze sobie radzą, a inne zawsze sobie nie radzą - mówi dr Zalewski. Przyznaje, że dla osób, które są stawiane w roli tych „gorszych”, taka sytuacja jest trudna. A wcale nie jest łatwo przekonać rodzinę, że nie jest się tym gorszym. Wtedy można poszukać wsparcia w tych członkach rodziny, którzy negocjują, starają się rozumieć różne strony.

- Chyba że chcemy konfrontacji. Wtedy wiadomo, do kogo się zwrócić, do tego, który u szczytu stołu rozdziela role rodzinne - mówi psycholog. - Większość rodzin ma sposoby rozwiązywania sytuacji konfliktowych. W okresie świątecznym siłą jest to, że jest więcej osób i zwykle ktoś podejmuje się łagodzenia konfliktów - dodaje.

Pewnie, że tak. W końcu trudne momenty w czasie świąt zdarzają się w wielu rodzinach i nie dochodzi w nich do zbrodni. Ale, jak podkreślają psychologowie, to czas, który - paradoksalnie - uwypukla także to, co nas dzieli.

Śmierć na oczach dzieci

Nie tylko w Polsce 24 grudnia dochodzi do brutalnych morderstw.

W 2017 roku 45-letni internetowy celebryta Anthony Milan Ross zabił w Phoenix w Boże Narodzenie swoją 38-

letnią żonę Iris, z którą był w separacji, i dwójkę swoich dzieci: 11-letniego Nigela oraz 10-miesięczną Anorę.

Do tragedii doszło półtorej godziny po tym, jak Ross udostępnił w mediach społecznościowych nagranie, na którym wraz z synem Nigelem śpiewa kolędę.

Szwagierka oskarżonego, Mary Wogas, w bożonarodzeniowe popołudnie otrzymała od Rossa dwie wiadomości.

- Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak - relacjonowała kobieta.

„Zabiłem Iris i dzieci” - brzmiał pierwszy SMS. W drugim Ross miał wyznać, że zrobił to z użyciem broni palnej.

- Wiedziałam, że był niestabilny i miał mroczną stronę, ale nie sądziłam, że aż tak - skomentowała Wogas.

Sąsiedzi, świadkowie zdarzenia, zobaczyli, jak Ross strzela do żony, kiedy ta próbowała uciec z domu. Mieli wtedy zapytać mężczyznę, czy z jego żoną wszystko w porządku, na co ten wycelował do nich i powiedział: „Nie”. Potem odwrócił się i wszedł mieszkanca, w którym były dzieci.

Mężczyzna uchodził za internetowego celebrytę. Popularność zdobył dzięki metamorfozie, którą przeszedł będąc na wegańskiej diecie. Ross dzielił się w mediach społecznościowych zdjęciami, które pokazywały, jak zrzucił około stu kilogramów wagi. Zdrowy styl życia łączył z karierą mówcy motywacyjnego.

Ross usłyszał zarzut potrójnego morderstwa pierwszego stopnia, napaści na policjantów i użycia broni palnej.

Dwa lata później w Wigilię Bożego Narodzenia w mieście Lakeland na Florydzie, podczas kolacji wigilijnej sąsiedzi małżeństwa z czwórką dzieci usłyszeli strzały i wezwali policję. Kiedy mundurowi dotarli na miejsce, we wskazanym mieszkaniu znaleźli ciała trojga dorosłych. W domu było również czworo dzieci, wszystkie miały mniej niż 10 lat. Żył.

- Wszystkie dzieci były tam, kiedy to się stało. Widziały wszystko. Widziały, jak ich matka i ojciec umierają. Ta mała dziewczynka mówiła: „Weszłam w krew mojego tatuśka” - relacjonował potem jeden z sąsiadów, Sun Malkowski.

Zabójcą był 30-letni Leighton Josephs. Zastrzelił 30-letnią kobietę i 27-letniego mężczyznę, po czym popełnił samobójstwo. Był znajomym ofiar.

Zbrodnie zdarzają się każdego dnia, dochodzi do nich w szkołach, w domach, na ulicach miast. Zabójcy często nie znają swoich ofiar. Ale święta to czas, kiedy najbardziej niebezpieczni są dla nas ci, których dobrze znamy. **Współpraca: Justyna Piasecka-Gabryela, PAP**

FOTOkomentarz tygodnia



20 GRUDNIA, BETLEJEM. Jak zawsze o tej porze roku, oblężenie przeżywa miejsce narodzenia Jezusa Chrystusa. Pielgrzymi w Bazylice Narodzenia Pańskiego (najstarszy kościół na świecie) mieszają się tam z Palestyńczykami walczącymi o swoją sprawę. Boże Narodzenie co roku rozgrywa się tu od nowa



20 GRUDNIA, WENEZUELA. Do świąt przygotowuje się też to jedno z najbardziej niebezpiecznych państw świata. Dla Wenezuelczyków Boże Narodzenie to najważniejszy dzień w roku. Niesie nadzieję na lepszy rok



20 GRUDNIA, SZWAJCARIA. Ponad 4 tys. osób wzięło udział w 87. edycji „Coupe de Noel” w Genewie. Przepłynęli 100 metrów, gdy było 8 st. C. Ale nie o pływaniu tutaj chodziło w pierwszej kolejności

MATERIAŁ INFORMACYJNY ŚWIEĆ SIĘ Z ENERGĄ

0111451986

23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na **najpiękniejsze zdjęcia miast** w konkursie „Świeć się z Energa”. Ale wciąż możecie zgłaszać swoje propozycje!

Ulice miast i miasteczek nabrały świątecznego blasku. Choinki lśnią tysiącami światełek, tworząc wyjątkowy, bożonarodzeniowy klimat. Dziękujemy za wszystkie zdjęcia, które już do nas trafiły. 23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na najpiękniej rozświetlone na święta miasto, ale wciąż czekamy na kolejne zgłoszenia - macie na to czas aż do 11 stycznia 2026 r.

Co sprawia, że właśnie o tej porze tysiące mieszkańców miast i miasteczek z całej Polski przesyłają zdjęcia rozświetlonych ulic, by to właśnie miejsce, w którym na co dzień żyją, zwyciężyło w konkursie „Świeć się z Energa”? Odpowiedź jest prosta - ten świąteczny konkurs to coś więcej niż rywalizacja. To realna pomoc dla osób, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej, a mieszkają tuż obok. Bo wygrana miasta przekłada się na konkretne wsparcie potrzebujących - im więcej

głosów zdobędzie, tym większa szansa na zwycięstwo w pierwszym etapie konkursu oraz bon od Energi na sprzęt AGD o wartości 10 tys. zł. To z kolei otwiera drogę do ogólnopolskiej rywalizacji o tytuł Światłej Stolicy Polski i główną nagrodę o wartości 50 tys. zł. Dlatego już można głosować! Zachęćcie rodzinę i przyjaciół do udziału w plebiscytcie, pokazicie siłę lokalnej wspólnoty. Teraz wszystko jest w Waszych rękach!

23 grudnia startuje głosowanie w pierwszym etapie plebiscytu

Aby zagłosować w charytatywnym projekcie, wystarczy odwiedzić stronę serwisu regionalnego, odnaleźć zapowiedź konkursu i skorzystać z narzędzia plebiscytowego. Każdego dnia zalogowany uczestnik może oddać aż 10 bezpłatnych głosów. Tak będzie aż do 21 stycznia, kiedy zakończy się regionalny etap konkursu miast. Ale - co ważne - wciąż można dodawać



kolejne fotografie. Pamiętajcie, nie ma znaczenia, czy korzystacie z profesjonalnego aparatu, czy świąteczne impresje „łapiecie” telefonem. Liczą się pomysł i chęć pomagania.

Wsparcie trafi do osób w potrzebie

W poprzednich edycjach projektu „Świeć się z Energa” zwycięskie samorządy przekazywały seniorom sprzęt AGD, m.in. kuchnie indukcyj-

ne, odkurzacze, kuchenki mikrofalowe, blendery i ekspresy do kawy. Energooszczędne pralki oraz lodówki z zamrażarkami trafiły do rodzin zastępczych. Pralki przemysłowe wspierały działalność

miejskich ośrodków pomocy społecznej, prowadzących punkty wydawania odzieży i jadłodziwnie. Nie zabrakło także komputerów i projektorów - niezbędnych do codziennych zajęć w świetlicach terapeutycznych.

Razem niesiemy dobro

Nasz bożonarodzeniowy plebiscyt ma moc - światło nie tylko zdobi przestrzeń, w której żyjemy, ale też niesie wsparcie. Wspólnie możemy więcej, dlatego angażujcie najbliższych, wszystkich zachęcajcie do aktywności. W tym wyjątkowym czasie nieśmy dobro!



Święta Bożego Narodzenia zaczęto obchodzić 25 grudnia dopiero w IV w. (pierwsza wzmianka pochodzi z 354 r.). W tym dniu obchodzono w Rzymie święto Niezwyciężonego Słońca i narodzin Mitry - perskiego boga, którego kult był bardzo popularny w cesarstwie. Był to więc bardzo dobry moment, by obwieścić narodziny Jezusa. „W naszym świętowaniu zachowały się też starsze niż chrześcijaństwo zwyczaje i obrzędy. Przechowywała je zwłaszcza tradycja ludowa. Praktyki i zaklęcia magiczne i elementy dawnych pogańskich świąt spłoty się tu z elementami chrześcijańskimi” - pisze Barbara Ogrodowska „Polskich obrzędach i zwyczajach dorocznych”. Pozostałości tych zabiegów, wróżb i obrzędów starsi Czytelnicy pamiętają ze swojego dzieciństwa. Wiele z nich było obecnych na polskiej wsi jeszcze długo po II Wojnie Światowej. Nie zniknęły nagle, ale blakły, zacierając się ich sens, a w końcu przestawały być praktykowane. Niektóre pozostały, ale z nowymi znaczeniami (np. dodatkowy talerz dla wędrowca). Poszczególne zachowania mogły się różnić w zależności od regionu, ale wiele z nich było bardzo podobnych.

Dzień czarownic

„Chwila wesela i uciechy wielkiej, pełnej radości dla czarownic była wigilia św. Łucji; w nocy tej najwięcej czarami się zatrudniały i gdzie mogły, tam psoty wyrabiała, dlatego tej nocy żaden gospodarz, żadna gospodyni nie układała się do spokojnego snu...” - pisał Adam Fiszer w opracowaniu „Czarownice w dolinie nowotarskiej” z 1927 r. Na Lubelszczyźnie tego dnia kobiety nie wychodziły z domu po zapadnięciu zmroku, pilnowano także małych dzieci. W stajniach i oborach wykładano ciernie i poświęcone ziola. Czarownice były elementem wiejskiego świata. Mogły czynić uroki, spowodować że krowy przestawały dawać mleko, zwierzęta chorowały. Na Podkarpaciu wiara w ich istnienie przetrwała bardzo długo. We wsi Niebylec, o kobiecie, która zmarła w 1976 r., okoliczni mieszkańcy jeszcze długo opowiadali, że była złośliwą czarownicą.

W wielu regionach właśnie w dniu św. Łucji (13 grudnia) zaczynało się przygotowywać się do Świąt. Zwracano uwagę, jaka pogoda jest w poszczególnych dniach, aż do Wigilii - taka miała być w kolejnych miesiącach. Gdzieś tam wsiadywali sół do miseczek zrobionych z rozkrojonej cebuli. Jeśli pojawiła się woda, ten miesiąc miał być deszczowy. Wróżono też z gałązek wiśni wkładanych do wody - jeśli się rozwinęły, zapowiadały dobry rok.

Wracając do czarownic - jeśli w dniu św. Łucji zaczęło się robić stópek i tak rozplanowało pracę, że skończyło się w Wigilię, to gdy

Święta bez choinki? Za to z zaproszeniem dla dzikich zwierząt, odwiedzinami dusz przodków i bacznym obserwowaniem swojego cienia? Nie, to nie egzotyczne zwyczaje dzikich plemion, a wiejskie świętowanie naszych pradziadków i prababek. Tak wyglądało Boże Narodzenie sto lat temu

WIGILIA Z DUCHAMI

Michał Olszański

stało się na nim na pastercie, można było zobaczyć czarownice - okazywało się, że stały odwrócone tyłem do ołtarza.

Wigilia

„Tego dnia świętowali nie tylko ludzie, ale cała natura. Zmarli odwiedzali domostwa, na wieczerze zapraszano wilka, ptaki, mróz, anioły, apostołów, św. Mikołaja, a nawet węże. Zwierzęta przepowiadały przyszłość i przemawiały ludzkim głosem” - pisze Andrzej Karcmarzewski w „Ludowych obrzędach dorocznych w Polsce południowo-wschodniej”.

Do wszystkiego co się tego dnia wydarzyło, przywiązywano znaczenie. Przestrzegano zakazów i wykonywano czynności, które pozwalały uniknąć wydarzeń niepomyślnych lub prowokowały korzystne. Bardzo niedobrze, jeśli pierwszą osobą, która przyszła tego dnia do domu, była kobieta - wróżyło to chorobę, niepowodzenie w gospodarstwie, a nawet śmierć.

Wstawano bardzo wcześnie. Gospodynie starały się nawet na chwilę nie usiąść, co miało sprawić, że będą „skrzętne”. Nie wolno się było kłócić.

Unikano praktyk powodujących „ubywanie”. Nie pożyczano niczego. Ważne było, żeby niczego nie stłuc ani nie zniszczyć, gdyż wtedy w domu będzie przez cały rok ubywało. Były też praktyki mające spowodować „przybywanie” - gospodarze podkradali sobie różne przedmioty, które po świętach zwracali. Szeroko praktykowanym zwyczajem były połowy (na Mazurach i Pomorzu) oraz polowanie/kłusownictwo. Obfity łup zapowiadał dobry rok. Na Podkarpaciu starano się pożyczyć coś od żyda, bo to przynosiło powodzenie. Nie można było rozlać wody - w domu będą pchły. Ile razy kichniesz - tyle razy będziesz chory, itd.

Ponieważ tego dnia do domu przybywały dusze zmarłych, siedząc trzeba było delikatnie omieścić ławę, albo zdmuchnąć z niej duszę. Kobiety uważały, by nie chlustać pomyjami. W wielu rejonach panował tego dnia zakaz szycia, motania i przędzenia.

W Wigilię obserwowano również pogodę. Rozgwieżdżone niebo zapowiadało, że kury się



Pałki - tradycyjna ozdoba bożonarodzeniowa na wsi (choinki przyjęły się w XIX w.)

będą dobrze niosły, a mgła - obfitość mleka.

Gdy zbliżała się pora wieczerzy, czyli pośnika lub postnika, na podłodze rozścielano słomę-symbol stajenki. Gdzieś tam później spano na niej, pozostawiając łóżka czy ławy dla dusz.

Pośnik

„Stawianie snopów zboża po rogach izby, w której zasiadał do uczy wigilijnej, dotąd napotykanie u ludu, było kiedyś zwyczajem we wszystkich warstwach powszechnym” - czytamy w Encyklopedii Staropolskiej Glogera. Czasem był to jeden snop niewymłóconego zboża - zwany Dziadem”, rzadziej „Królem” czy „Diduchem”. Często pierwszy zebrany w żniwa. Pod obrus kładziono siano, czasem też ziarna zbóż. Stawiano talerz dla dusz i w wielu domach odkładano na niego łyżkę każdej potrawy.

Pod stołem umieszczano żelaza (siekiere, sierp), dla odstraszania złych mocy (czasem tłumaczono: „aby roli nie psuły”), w niektórych domach obwiązywano sznurami lub łańcuchami nogi stołu, „aby chleb trzymał się domu”. Gdzieś tam nie jedzono na stole, a na odwróconej dzieży (dla pomyślności).

Do wieczerzy musiały zasiąść parzysta liczba osób (liczono też

dzieci „w drodze”), bo nieparzysta zwiastowała nieszczęście, a nawet śmierć jednego z domowników. Gdy wypadło inaczej, doliczano „Dziada” (w niektórych regionach w takim wypadku snopek ubierano).

„Wieczerza wigilijna tylko pozornie spożywana była w gronie ludzi, a naprawdę adresowano ją, jak się wydaje, do innych, ważniejszych od człowieka istot. Wskazuje na to przede wszystkim jej menu i obowiązująca atmosfera powagi. Zarówno miód, mak, grzyby, suszone owoce, orzechy czy groch można spotkać w rozmaitych konfiguracjach podczas wielu innych obrzędów. Wtedy zupełnie wyraźnie są one ofiarą składanymi na grobach lub w kościele. W obrzędowości katolickiej nie jest to może aż tak jednoznaczne, natomiast zupełnie jasno zaznacza się w obrzędku prawosławnym” - pisze Anna Zdrożyńska w książce „Powtarzając czas początku. O świętowaniu dorocznych świąt w Polsce”.

Jak wiadomo, „powinno być 12 potraw, bo tyle jest apostołów i miesięcy w roku”. Często nie udawało się spełnić tego wymagania, wówczas musiała to być liczba nieparzysta. W trosce o dostatek, łyżkę trzymano przez cały czas w ręce. Nie odchodzono od stołu, żeby się kury nie

rozbiegały. Jedzono w powadze, dużą uwagę przywiązywano do tego, żeby usiąść w taki sposób, by na ścianę padał wyraźny cień. Niewyraźny zwiastował choroby, a jego brak - śmierć.

Często jedzono z jednej miski. Stawiano ją na opłatku i podnoszono. Jeśli się przyklei, zapowiadało to urodzaj na produkty, z których wykonano potrawę. Nierzadko w trakcie jedzenia wypowiadano życzenia, np. „wiąż się grochu”, „mnóż się zboże”, „składaj się kapusto”. Po kolacji nie sprzątało ze stołu. Jedzenie pozostawiano duszom.

Oczywiście wróżono sobie jaki będzie nadchodzący rok, np. podrzucając kutię do sufitu - im więcej się przykleiło - tym miał być dostatniejszy. Podobną wróżbą było rzucanie słomy za tragarz (belka podtrzymująca strop) - im więcej żdźbeł utknęło - tym lepiej. Zanoszono opłatek zwierzętom, a Kaszubi wynosili kluski z makiem rybom w jeziorze. Bardzo popularnym zwyczajem było obwiązywanie słomą drzew w sadzie. Gdzieś tam zanoszono potrawy na mogiły lub przed dom, palono ogniska na rozstajach dróg.

Choinka

Na wsi choinka przyjęła się późno, co nie znaczy, że w świątecznej izbie brakowało dekora-

cji. Gałązkami jodeł, świerków czy sosen ozdabiano ściany, rami obrazów, przybijano je do drzwi. Pod powałą wieszano czubek żywozielonego drzewka. Dekorowano go orzechami, jabłkami, czasem wieszano też cebulę - na odpędzenie złych duchów. Taka ozdoba nazywała się podłaźnik, połaźnik, połaźniczka, jutka, wiecha, boże drzewko. Ciekawymi ozdobami były gwiazdki i słońca wycinane z opłatków. Z tych ostatnich klejono także trójwymiarowe formy w kształcie kul - nazywane światami, zawieszano je osobno, pod sufitem.

Inną ozdobą obecną w chłopskich domach były pałki - przestrzenne konstrukcje zrobione ze słomy i bibuły. Czasem osiągały ogromne rozmiary i zadziwiały wysoki stopień komplikacji - przypominały wielkie żyrandole z dworów.

Pasterka

To była msza inna niż wszystkie. Popularne były wyścigi furmanek do i z kościoła (pierwszemu najszybciej wszędzie i dojrzeje zboże). Ludzie byli głośni i swawolni. Czasami z chóru rzucono grochem - na szczęście. Taki element żartu i zabawy był powszechny także w miastach. Krakowscy żacy wlewali atrament do wody święconej, albo zszywali ze sobą suknie modlących się kobiet.

Po pastercie swawola wylewała się na wieś. Zastawiano brzoiami drzewi do domów, czasem zamalowywano wapnem okna (szczególnie jeśli była tam panna na wydaniu). „Nawet jeśli parobcy lub dorośli mężczyźni wyciągnęli komuś wóz na dach, nikt nie mógł tego poczytać za obrazę. Wtedy przestały obowiązywać normalne konwenanse” - pisze Zdrożyńska.

I rzeczywiście było to swiste wprowadzenie do świata na opak, czasu chaosu. Po domach zaczęli chodzić kołędnicy, przebierańcy z maskarami, kozami, bocianami, turońcami, królami, Herodami, diabłami, składający życzenia, domagający się podarunków. Już w 1408 r. krakowski statut diecezjalny krytykował te praktyki, twierdząc że przy okazji dzieje się wiele bezceństw.

TRANSPORT W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH DNI TRZEBA BRAĆ POD UWAGĘ INNE GODZINY KURSOWANIA KOMUNIKACJI

Duże zmiany w rozkładach na Boże Narodzenie, Sylwester i Trzech Króli

Jędrzej Cichocki
Warszawa

Przed nami liczne zmiany w funkcjonowaniu komunikacji miejskiej. Świąteczne rozkłady jazdy są już gotowe.

Pierwsze zmiany w kursowaniu komunikacji zostaną wprowadzone 23 i 24 grudnia, kiedy zaczną się ferie świąteczne. Rządziej będą jeździły tramwaje: w szczycie co 5 lub co 10 minut, a poza godzinami szczytu co 7 i półminuty i co 15 minut. Pociągi metra w godzinach szczytu będą kursowały co 2 minuty i 50 sekund (linia M1) oraz co 3 minuty i 30 sekund (linia M2), z kursami nocnymi z 23 na 24 grudnia (do ok. godz. 3.00 nad ranem).

Autobusy będą kursowały zgodnie z rozkładem dnia powszedniego, ale z pewnymi zmianami. Zawieszona zostanie kursowanie autobusów linii: 263, 308, 320, 332, 356, 809, 815, E-2, Z-8; na liniach: 114, 121, 142, 150, 152, 176, 211, 319, 518 nie będzie kursów wykonywanych w dni nauki szkolnej, a autobusy linii 164, 198, 201, L24 nie będą podjeżdżały pod szkoły.



Warszawiacy wracający z zabaw sylwestrowych nie muszą się martwić – z 31 grudnia na 1 stycznia metro będzie jeździło także w nocy

Autobusy linii 192 będą jeździły na trasie skróconej do pętli Ursynów Płd., a autobusy linii 401 będą kończyły trasę przy Metrze Służew.

W Wigilię i oba dni świąt Bożego Narodzenia autobusy będą

kursowały według niedzielnego rozkładu jazdy. Tramwaje będą miały rozkład jazdy niedzielny, a dodatkowo zawieszona zostanie kursowanie linii 13, 14, 27 oraz 33. Na tory wyjadą tramwaje linii 76 na trasie Miasteczko Wilanów

– Ratuszowa-ZOO; natomiast tramwaje linii 19 będą ze Stegienjechać do Metro Młociny.

W tym czasie zawieszona zostanie kursowanie autobusów linii: 107, 108, 117, 118, 119, 125, 126, 129, 130, 156, 160, 168, 182, 187,

188, 193, 196, 201, 202, 207, 219, 221, 226, 228, 234, 256, 263, 512, 514, 516, 519, Z-8. Z tą zmianą powiązana jest korekt tras linii: 102, 131, 134, 143, 154, 164, 172, 194, 218, 249, 251, 521 – część z nich na wybranych odcinkach zastąpi te, które „mają wolne”. Rządziej będą jeździć autobusy o numerach: 105, 106, 112, 120, 122, 133, 136, 138, 139, 141, 149, 152, 153, 163, 165, 170, 177, 189, 208, 212, 217, 218, 239, 523, 527.

W Wigilię około godziny 15.00 zakończą kursowanie autobusy linii: 106, 123, 139, 166, 172, 181, 212, 409, 504, 511, 518, 727; natomiast autobusy 104, 111, 112, 114, 116, 122, 131, 136, 143, 154, 161, 165, 177, 179, 180, 186, 191, 192, 194, 203, 204, 208, 209, 218, 500, 503, 507, 509, 520, 527, 709, 713 będą kursować rządziej. Po godzinie 15.00 część tramwajów przestanie kursować. Dalej będą jeździć tramwaje oznaczone numerami: 1 (z placu G. Narutowicza do Żerania Wschodniego), 2, 3, 4 (do Czynszowej), 7, 9, 11, 15, 16, 17, 19, 20, 26.

Metro będzie kursowało według specjalnego rozkładu jazdy. 27-28 grudnia, 3-4 stycznia oraz 6 stycznia (święto Trzech Króli)

W „międzyświąteczne” weekendy autobusy będą co do zasady jeździły tak, jak w „zwykłe” soboty i niedziele, natomiast 6 stycznia – według niedzielnego rozkładu. W tych dniach nie zobaczymy na ulicach autobusów: 126 (tylko 6 stycznia), 160, 171, 182, 196, 256, 263, Z-8.

Zmienionymi trasami pojadą autobusy linii 125, 131, 143, 187, 192 i 521, a rozkłady specjalne będą miały linie: 106, 108, 122, 130, 177, 193, 212, 228 i 527. Tramwaje 27 i 28 grudnia będą jeździły rytmem weekendowym, z pewnymi zmianami: uruchomienie linii 76 (Miasteczko Wilanów – Plac Bankowy – Aleja „Solidarności” – Ratuszowa-Zoo); zawieszenie kursowania linii: 13, 14, 27, 33; tramwaje linii 19 będą kursowały na trasie zmienionej ze Stegien do Metra Młociny. Metro na obu liniach 4 i 6 stycznia będzie kursowało według niedzielnego rozkładu jazdy, pozostałe dni – zgodnie ze standardowymi rozkładami.

Warszawiacy wracający z zabaw sylwestrowych nie muszą się martwić – z 31 grudnia na 1 stycznia metro będzie jeździło także w nocy.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kozłowski**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcinski**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: **22 201 42 00**, faks: **22 201 42 01**
e-mail: **redakcja@polskatimes.pl**
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kołportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: **biurokonsumenta@polskapress.pl**, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Nieruchomości

DZIAŁKI, GRUNTY KUPIĘ
GRUNTY ROLNE

Kupię ziemię rolną/leśną blisko rzeki lub jeziora 691-244-932

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający Nowy Modlin tel. 604 630 556

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ Ciągnik rolniczy C330, C360, Zetor MTZ i inne. 698282939

KUPIĘ ciągnik rolniczy URSUS, Zetor, MTZ i inne. 783964891

KUPIĘ ciągnik rolniczy Zetor, Ursus, MTZ, Farmtrac, New Holland, Case, T 25, C-360, C-360 3p, C-330, C-328 tel 603502876

AUTOREKLAMA

Polecamy →

SPORTOWY24

Sport to Wy

sportowy24.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



Powrót „Lewego”. Zalewski i Piotrowski z asystami

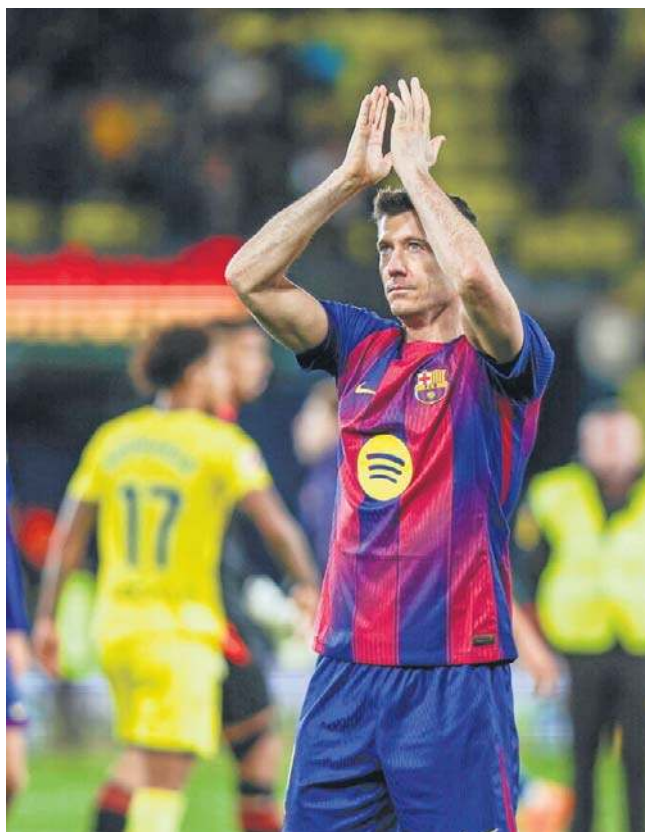
Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. To był kolejny niezbyt udany weekend reprezentantów Polski. Żaden nie strzelił gola, a asysty zaliczyli tylko Nicola Zalewski i Jakub Piotrowski. Do gry wrócił Robert Lewandowski.

Prawy obrońca Aston Villi Matty Cash zaliczył koszmarny błąd przy golu rywala w meczu z Manchesterem United - wdał się w drybling pod własnym polem karnym, stracił piłkę i w kosekwencji „The Villans” bramkę. Na szczęście strata gola nie przeszkodziła w wygranej. Kolejny występ zaliczył w Bundeslidze 18-letni środkowy obrońca FSV Mainz 05 Kacper Potulski.

Atalanta Bergamo męczyła się cały mecz w niedzielę z Genoa. Już w 3. minucie czerwona kartką ukarany został bramkarz Genui Nicola Leali. Mimo mniejszej liczby zawodników, gospodarze dzielnie się bronili i niemal do ostatniego gwizdka utrzymali bezbramkowy remis. Na ławce rezerwowych aż do 69. minuty siedział Nicola Zalewski. Gdy wszedł na murawę, szybko dostał żółtą kartkę. Mimo gry w przewadze, Atalanta nie umiała strzelić gola, aż do ostatniej akcji meczu. W 94. minucie Zalewski został jednym z bohaterów, bowiem popisał się perfekcyjnym dośrodkowaniem z rzutu różnego w pole karne, gdzie szwedzki obrońca Isak Hien precyzyjnym uderzeniem dał zwycięstwo Atalancie.

– Przed wejściem na boisko trener Palladino poprosił mnie, żebym robił to, co zwykle, czyli dawał z siebie wszystko w obronie, rywalizując z Nortone-Cuffym, żebym naciskała, aby trzymać go nisko. Jesteśmy



Robert Lewandowski wrócił do gry w Barcelonie, ale tym razem nie zdobył bramki w meczu z Villarrealem

bardzo szczęśliwi, że udało nam się wygrać, niezależnie od tego, kto strzelił czy zaliczył asystę. Potrzebowaliśmy tych punktów - przyznał Zalewski.

Asystę zaliczył też niepowoływany ostatnio Jakub Piotrowski. Pomocnik Udinese, 66. minucie zagrał piętą w środku pola do Oumara Soleta. Francuz popędził w kierunku bramki gospodarzy i potężnym uderzeniem zza pola karnego nie dał bramkarzowi rywala żadnych szans. Była to jednak asysta na otarcie łez, bo Udinese uległo ostatniej w tabeli Serie A Fiorentinie aż 1:5.

Na murawę, po kilku meczach przerwy, wrócił w FC Barcelonie Robert Lewandow-

ski. „Blaugrana” wygrała 2:0 z Villarrealem, ale „Lewy” nie był w stanie wyrzucić jakiegś niesamowitej presji pod bramką gospodarzy. Cieszy, że porównywalnie w pierwszej połowie zagrał Ferran Torres, a można rzec, że Lewandowski był w niedzielę lepszy od Hiszpana. ©

WEEKEND KADROWICZÓW

Bramkarze:
Bartłomiej Drągowski (Panathinaikos) - na ławce rezerwowych w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.
Kamil Grabara (VfL Wolfsburg) - 90 minut w przegranym 3:4 meczu z Freiburgiem.
Kacper Tobiasz (Legia Warszawa) - na ławce w wygranym 4:1 meczu z Lincoln.

Mateusz Kochalski (Karabach Agdam) - na ławce w wygranym 2:1 meczu z Gabałą.

Obrońcy:

Jan Bednarek (Porto) - mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia, ale nie zagrał z powodu nadmiaru kartek.
Matty Cash (Aston Villa) - 90 minut i błąd w wygranym 2:1 meczu z Manchesterem United.
Tomasz Kędziora (PAOK) - 90 minut w wygranym 2:0 meczu z Panathinaikosem.
Jakub Kwior (Porto) - mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia.
Kryspin Szczesiak (Górnik Zabrze) - runda jesienna zakończona.
Przemysław Wiśniewski (Spezia) - 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Frosinone.
Paweł Wszolek (Legia Warszawa) - runda jesienna zakończona.
Jan Ziółkowski (AS Roma) - 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Juventusem.
Kacper Potulski - reprezentant Polski U21 (Mainz) - 90. minut w zremisowanym 0:0 meczu z St. Pauli.

Pomocnicy:

Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin) - runda jesienna zakończona.
Jakub Kamiński (FC Köln) - 86. minut w przegranym 0:1 meczu z Unionem Berlin.
Bartosz Kapustka (Legia Warszawa) - runda jesienna zakończona.
Kacper Kozłowski (Gaziantep FK) - mecz odbył się wczoraj.
Filip Różga (Sturm Graz) - 17 minut w przegranym 1:3 meczu z Austrią Wiedeń.
Michał Skórak (Gent) - pauza za czerwoną kartkę.
Bartosz Słisz (Atlanta United) - zakończył sezon.
Sebastian Szymariski (Fenerbahce) - 9 minut w wygranym 3:0 meczu z Eyupsporem.
Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo) - 21 minut i asysta w wygranym 1:0 meczu z Genoa.
Piotr Zieliński (Inter Mediolan) - 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Bologną.
Jakub Piotrowski (Udinese) - 90. minut i asysta w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.

Napastnicy:

Adam Buksa (Udinese) - 26. minut w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.
Robert Lewandowski (FC Barcelona) - 29 minut w wygranym 2:0 meczu z Villarrealem.
Karol Świdorski (Panathinaikos) - 66 minut i żółta kartka w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.

Tomasiak najwyżej wśród Polaków na liście płac Pucharu Świata skoczków

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. Po 10 z 35 zawodów numerem 1 na liście płac jest lider Pucharu Świata Domen Prevc.

Kacper Tomasiak po udanym weekendzie w Szwajcarii, gdzie zajął 13. miejsce w sobotę i piąte w niedzielę, awansował w zestawieniu zarobków na 13. lokatę. Na jego koncie jest ponad 28 tysięcy euro, czyli około 120 tys. zł.

Domen Prevc, który w sobotę był pierwszy i wygrał piąty raz z rzędu w sezonie, a w niedzielę musiał uznać wyższość jedynie Japończyka Ryoyu Kobayashiego, zarobił już 134 775 euro, czyli 566 tys. zł.

Zwycięzca klasyfikacji generalnej Pucharu Świata i lider płac w minionym sezonie, Austriak Daniel Tschofenig, jest obecnie ósmy na liście zarobków (54 650 euro), po tym jak w Engelbergu nie zdołał w niedzielę zakwalifikować się do drugiej serii.

Po raz pierwszy w historii FIS nagrody finansowe wypłaca nie

w frankach szwajcarskich, lecz w euro. Za pierwsze miejsce w konkursie indywidualnym płaci się 15 tys. euro, a za zwycięstwo w kwalifikacjach 3175 euro. Nagrodę finansową otrzymuje każdy skoczek, który wystąpił w drugiej serii. Za 30. pozycję jest to 500 euro. Za pierwsze miejsce w konkursie drużynowym i mikstów każdy z uczestników dostaje 8500 euro.

Oficjalne premie nie są jedynymi dochodami skoczków narciarskich. Zawodnicy ze światowej czołówki mają podpisane prywatne kontrakty sponsorskie i reklamowe, których wysokość jest objęta tajemnicą. ©

LISTA PŁAC PUCHARU ŚWIATA

- (kwoty w euro i złotych)
- Domen Prevc (Słowenia) 134 775 (566 000).
 - Ryoyu Kobayashi (Japonia) 103 075 (432 900).
 - Philipp Raimund (Niemcy) 76 175 (319 900).
 -
 - Kacper Tomasiak (Polska) 28 450 (119 500).
 - Kamil Stoch (Polska) 16 325 (68 600).
 - Piotr Żyła (Polska) 13 200 (55 400).
 - Paweł Wąsek (Polska) 6 450 (27 200).
 - Dawid Kubacki (Polska) 5 100 (21 400).
 - Maciej Kot (Polska) 4 200 (17 600).



Osiemnastoletni Kacper Tomasiak zarobił dotychczas najwięcej spośród Polaków w Pucharze Świata skoczków

Czy FC Barcelona powinna zostawić Lewandowskiego? Za i przeciw

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Robert Lewandowski młodszy już nie będzie. W przyszłym roku skończy 38 lat, a jego kontrakt z FC Barceloną obowiązuje tylko do końca obecnego sezonu.

Pojawia się więc pytanie, czy mistrzowie Hiszpanii zdecydują się na jego przedłużenie. Oto argumenty za i przeciw.

W kulisach coraz częściej słychać, że może to być ostatnia

kampania kapitana reprezentacji Polski w barwach Barcelony. Tym bardziej że po Lewandowskiego ustawiła się już kolejka chętnych - wśród nich wymienia się kluby z Arabii Saudyjskiej, amerykańskie Chicago Fire oraz włoski AC Milan. Te zespoły mogą zaproponować Polakowi znacznie lepsze warunki finansowe niż te, które może zaoferować Barcelona.

W tym sezonie Lewandowski radzi sobie gorzej. Strzelił 8 goli w La Liga, a w Lidze Mistrzów wciąż czeka na pierwsze trafienie w trwającej kam-

panii. Jego licznik zatrzymał się na 105 trafieniach.

Argumenty „za”

Gwarantuje 15+ goli w roku - trudno sobie wyobrazić, by Robert Lewandowski miał zejść poniżej pewnego poziomu. Nawet gdy zaczyna mecze na ławce rezerwowych, jak w ostatnich występach Barcelony, wciąż potrafi trafić do siatki. Znaleźć innego środkowego napastnika w jego wieku, który w ciągu jednego roku kalendarzowego zdobyłby aż 27 bramek, graniczy z cudem. Na-

wet Cristiano Ronaldo czy Lionel Messi dziś funkcjonują raczej na peryferiach wielkiej piłki i nie odgrywają już kluczowych ról w europejskim futbolu.

Doświadczenie i leadership - Lewandowski w Barcelonie to nie tylko superstrzelec, ale przede wszystkim mentor i lider młodszych zawodników, takich jak Gavi, Pedri, Lamine Yamal czy Fermín López. Jego ogromne doświadczenie i obycie na europejskich boiskach bez wątplenia wpływa na postawę całej drużyny.

Argumenty „przeciw”

Wiek i perspektywy na przyszłość - Robert ma ponad 36 lat, a to oznacza u niego naturalny spadek dynamiki i wydolności, co może być coraz bardziej widoczne. Mogliśmy to obserwować w ostatnich meczach, w których zaczynał na ławce rezerwowych i ewentualnie podnosił się z niej w drugiej połowie rywalizacji.

Koszty kontraktu - jeśli Barcelona zdecyduje się przedłużyć umowę z „Lewym”, na pewno nie będzie to na obecnych warunkach, a sam piłkarz będzie

musiał liczyć się ze znaczną obniżką wynagrodzenia.

Coraz częstsze kontuzje utrudniające mu regularną grę i strzelanie goli.

Co robi Laporta?

Prezes Barcelony Joan Laporta przed podjęciem decyzji powinien powyższe „za” i „przeciw” wziąć pod uwagę, a także kogo z rynku i za jaką kwotę mógłby ściągnąć jako „9” na następcę polskiego goleadora. Dopiero te wytyczne dadzą właściwą odpowiedź. ©

